

Szklarskiej Porębie zaczęłam poznawanie artystycznego świata. Kiedyś pojechałam do Pławnej. Obejrzałam galerię, podobało mi się. Dom pełen rzeźb, obrazów, kominek, wielka posesja pełna drewnianych masek, lalek, kamiennych rzeźb. Miliński – wypasiony – tak bym teraz powiedziała, siedział pod wielkim parasolem, w grupie młodych ludzi, mówił. Miałam ochotę zagadać, przedstawić się ale.. nie miałam śmiałości. Czemu ? Przecież gadam bez oporów ze wszystkim co ma uszy na tym świecie. Może ta nieśmiałość przez to, że go w myślach kiedyś tak fatalnie potraktowałam ?

„Urodzony na cmentarzy” – pożyczyłam tę książkę od Lidki Śniatyckiej. Kiedyś gawędziłyśmy sobie mile przy kawie w ogrodzie i nagle Lidka weszła na temat Milińskiego. Oczy zapłonęły, z zachwytem zaczęła o nim mówić. O człowieku, który kiedyś przez nikogo poważany nie był. Tytuł mnie zniesmaczył – gra pod publiczność, nieszczęśliwy, brudny, zły.. czysta komercja, reklama. Mój zaprzyjaźniony telewizyjny dziennikarz mówi, że przyjedzie do mnie na wernisaż jak tylko krew się poleje – inaczej tv mu materiału nie kupi – takie są potrzeby społeczne, tv wychodzi im naprzeciw. Miliński też wie, zna ludzkie słabości.

Przeczytałam. Książka jak książka, dobrze napisana. Fajnie się czyta jakby się plotek o znajomych słuchało. Opowieść o życiu artysty – menela, który wychodzi na prostą. Nono.. ten Miliński ma łeb do interesów, dobrze się sprzedaje.

Autor urodzony w 1957 roku w Cieplicach k. Jeleniej Góry to malarz, poeta, aktor, inspirator wielu akcji artystycznych i animator kultury. Książka opowiada historię jego życia, a zawiera wspomnienia z dzieciństwa, wyznania z lat młodości oraz to wszystko, co kształtowało postrzeganie przez niego świata.

Urodzony w biednej rodzinie robotniczej w niewielkim miasteczku Miliński nie miał ani łatwego dzieciństwa, ani przed sobą prostej i łatwej drogi artystycznej. W dramatycznych wyznaniach nie oszczędza nikogo. Ani najbliższej rodziny, ani przyjaciół i znajomych, a już najmniej siebie samego. Z bolesną wręcz szczerością opisuje krajobraz i realia czasów dzieciństwa, wyliczając błędy, które popełnił zanim przekroczył „cmentarną bramę”. Więcej w jego otoczeniu było takich, którym się nie udało i pozostali do dziś na „cmentarzu”. Warto uważnie czytać każdą stronę tego barwnego dokumentu, bowiem prócz dosadnych opisów i soczystego języka znajdziemy tu także poezję i niejedną, godną polecenia radę: „Mówmy do siebie nienormalnie miłe rzeczy i nie wstydzmy się tego. Tulmy się jak dzieci do swoich żon. (...) Mimo bólu, nieprzyjemnej pracy, budowy domu i pieczenia ciasta, dzieciom będzie piękniej. Takich domów nam trzeba, głębokich rozmów i widzenia siebie nawzajem”.

Twórczość Milińskiego można podziwiać lub można z niej drwić, ale z pewnością nie można przejść obok niej obojętnie.

Dariusz Miliński

fragmenty

„URODZONY NA CMENTARZU”

Przydarzyłem się światu w roku 1957, w Cieplicach w licznej i bardzo biednej bez pomysłu na życie rodzinie. Było nas siedmioro rodzeństwa i ojciec, który zatruwał zdrową tkankę tej ziemi. Matka była piękna, była aniołem w takim klimacie, w takich syfalistycznych warunkach,...Za wychowanie tylu dzieciaków należy się jej prawdziwy hołd. Całe moje rodzeństwo było stuknięte na swój sposób. W tej chwili okazuje się, że jest nas trzech malujących... Jest coś dziwnego w genach, ale trzeba nad tym pracować, a ja jestem najbardziej pracowity... Szkoła podstawowa była wstrząśnięta moją postacią, byłem wyjątkiem- nie rokowałem żadnej nadziei na bycie dobrym. Rosłem w niemieckiej rzeczywistości - aby przetrwać wymyśliłem malarstwo...

Mój dom był dawną plebanią kościoła Szawgoczków. Dach był dwuspadowy, pokryty łupkiem wulkanicznym i miał konstrukcję typowo niemiecką. Dom stary- z 1903 roku. I tak zaczęło się wszystko sensowne i wszystko, co pamiętam...Komórka, strych, cmentarz. Przed domem - podwórko, podwórko magiczne, ściśnięte ogródkami jak kołnierzem. Z jednej strony był ogródek Dudka z drugiej – nasz. Z boku, przy ścianie murowanej komórki rosła sobie gruszka Geruzelów, zaraz dalej -gruszka Milińskich. Nikt nie ruszał cudzych owoców. Wszyscy się pilnowali, bo mieli jakąś swoją dumę. Tak samo agrest i wszystko inne. Nasze gruszki były soczyste i słodkie a Geruzelów – twarde i zimowe. Te dwa marne drzewa opisywały w jakiś sposób nasze rodziny. Jak dzisiaj wspominam tych ludzi to utożsamiam ich sobie, czy jakby oni „ chrupią” dla mnie jak twarde, zimowe gruszki. To były stare, zapyziałe drzewa, które zostały gdzieś po Niemcach. Nie miały za wiele owoców, ale i tak jedliśmy każde ledwo, co wychodzące z kwiatów – bo i z głodu i z ciekawości.

Kościół i plebania były otoczone niemieckim cmentarzem przez księży, którzy na przykład umarli. Zresztą całe to miejsce było jak wielkie cmentarzysko, więc właściwie jestem człowiekiem urodzonym na cmentarzu. Czuło się, że pod ziemią cała ta niemiecka sytuacja dalej sobie oddychała, jakby ziemia przykrywała niemiecki świat pod kołdrą wojny. W bliskości domów zniknęły wszystkie te grobowce...Wszystkie czarne marmurowe płyty, które później domokrażcy okrywali workami i wynosili gdzieś dalej, by z drugiej strony wypisać sobie polskie literki. W każdym bądź razie życie toczyło się jakby dalej i na miejscu cmentarza pojawiły się ogródki. Pamiętam, że u nas pod komórką rósł „nuklearny” wręcz, rabarbar. Nigdy się nie zastanawiałem, czemu jest taki dorodny i wielki, a tu się okazuje, że to na niemieckich kościach... że ja w pewnym sensie zjadłem jakiegoś Niemca. Może, dlatego teraz w Pławnej gdzie obecnie mieszkam zbieram jakieś niemieckie kapliczki, krzyże, maszyny, sprzęty... Dzisiaj się trudno przyznać do takich spraw, ale ja pracownię, domek właściwie – nie pracownię miałem w grobowcu... Z biedy zbudowałem sobie takie schowanko no i w pewnym momencie „lokatorów” wypieprzyłem kościstych, a zacząłem pucować tę sytuację. Tych grobowców było od cholery. Jeden z grobowców był w idealnym stanie, znajdował się blisko domów sąsiadów. Był wykafelkowany i tylko w durnej głowie stał się moim schowkiem, myślą o własnym miejscu, pracowni. Nigdy nie spędził bym tam godziny bez towarzystwa. Uporządkowaliśmy ten lokal bardziej dla „bradziażenia” , palenia fajek i chowania się przed ludźmi. Na zewnątrz grobowca znajdował się stary niemiecki cmentarz. Rosły tuje i duży szczaw. Zawsze go jadłem. Wtedy się nie bałem, bo koledzy i tak dalej, ale dzisiaj zesrałbym się ze strachu. Zachowywałem się jak nabzdyczony komornik eksmitujący lokatorów za barbarzyństwa wojny. Dzisiaj wiem, że to był głupi rodzaj kary... Ja do Niemców nic nie miałem i nic nie mam, po prostu wędrowali

sobie poza tą swoją siedzibą. Byłem wtedy poszukiwaczem skarbów i hieną cmentarną. Robiliśmy na cmentarzu różne cuda. Rosły tam wielkie tuje, na których bawiliśmy się przeskakując z jednego drzewa na drugie nie dotykając ziemi. Graliśmy na płytach grobowych w karty, albo bawiliśmy się znalezionymi na podwórku fenigami. Na cmentarzu zbierało się ślimaki winniczki i sprzedawało się je później w skupie by mieć na lizaki czy kino. Cmentarz był miejscem zabaw tak jak boisko czy piaskownica... W swoim pieprzonym życiu dotarłem do różnych dziwnych historii...Odkrywaliśmy płyty grobowe gdzie na przykład stały sobie trumienki. Pamiętam, że chciałem stanąć na te trumny, żeby zejść do środka i wjechałem się po pachy w te ciała, w te robale takie długie... Wytrzymałem z małych trumienek kosteczki! Wszystko! A kolesie i dziewczyny: „ale Darek odważny!”... Szukałem skarbów grzebiąc w Niemieckich bebeczach a jednocześnie gadałem do siebie żeby nie zesrać się ze strachu... Ja dzisiaj mogę Pana Boga zawsze przeprosić, powiedzieć: „Panie Boże ja się bałem...” Tylko, że tu dziewczyny i kolesie: „Garbus! Zejdziesz czy nie?!” – Miałem wtedy ksywę „Garbus” – ja: „Rękę dajcie!” – „Radź se chuju!” I takie paranoje...To były paranoje świata powojennego, bo tu wszystko tak wyglądało, było dużo dziadostwa... Myśmy się przeprowadzili z Warszawy do Sobieszowa, gdzie te dwa światy funkcjonowały zupełnie inaczej. Warszawa tworzyła się szybko, bo miasto, bo stolica itd. Tam poszedłeś do knajpy czy do Pałacu Kultury, a tutaj wszystko gadało przez pryzmat niemieckich kości, które drzemały w każdym miejscu... Tworzyłem się w tej sytuacji, w tej pozycji. Byłem wrażliwym, struchlałym ludeczkiem... Było nas w domu od cholery: Marek, Włodek, Grażyna, ja, Roman, Adam a jeszcze wcześniej Mariusz. Byłby trzecim w kolejności bratem, ale bardzo wcześnie zmarł. Najstarszy był Marek, potem dwa lata młodszy Włodek, dwa lata Grażyna i dwa lata w dół ja. Potem Roman i Adam. Wszyscy mniej więcej co dwa lata różnicy, ale precyzyjnie nie jestem pewien. Za sobą miałem dzieciaki a przed sobą powagę starszych braci i siostry. Pamiętam, że jak zacząłem palić fajki to kryłem się z tym przed braćmi, bo czułem jakby szacunek. I tak samo ja – w tę drugą stronę. Wszyscy byliśmy bardzo wysportowani i zwinni. Często graliśmy w piłkę i ćwiczyliśmy „pady”. Młodszy bracia snuli się za mną do tego stopnia, że musiałem uciekać z jakimiś starszymi kumplami, bo ciągnął się za mną ogon w postaci Romana...którego no niczym? Butem rzucałem za nimi, gruszkami z za pazuchy, jakimiś przedmiotami... Monotonnie, nudnie ciągnęli się za mną. Nie nadążali w tempie, jakie ja już miałem ze starszymi koleżkami. Dotrzymywałem im kroku, bo sam byłem prowokatorem. Mój najstarszy brat Marek wcześniej wyjechał i wychowywał się w Warszawie u babci Milińskiej, bo miejscowi z Sobieszowa skazali go na kryminal. Ale ja nic nie wiem na ten temat, bo tego nie pamiętam. Pamiętam za to jak kolędował, jak zbierał z kolesiami żarcie. Nie mogę powiedzieć, że okradał sklepy...Na pewno coś, bo jeżeli ja to robiłem to on tym bardziej. Snuł się z jakimiś takimi typami: Żydłowiczem i Czują. Pamiętam ich przez pryzmat maciupkiego ludka. Byli wielcy i tajemniczy. Mieli po parenaście lat i nie zdradzali za wiele. Zadziwiały mnie zawsze „żniwa” (na przykład jedzenie), jakie przynosili do domu. Marek stał się jakby innym człowiekiem. Wychowywał się w klimacie dużego miasta i kiedy przyjeżdżał do domu widać było różnicę pomiędzy jego sposobem bycia a naszym. Był bardzo wysportowany i nie bał się niczego. Byłem dumny z Marka, z jego sprężystości i orientacji fizycznej. Marek nie mówił nigdy za dużo ale zawsze był życzliwy. Kiedy przyjeżdżał szedł ze swoimi koleżkami na Chojnik, oczywiście jakieś dziewczyny i pełen szpan. My „śmierdzieliśmy” jeszcze uranem i zaszczanymi trocinami, a on reprezentował lepszy, bardziej sensowny świat. Szybko poznał swoją żonę – Iwonę, która pochodziła z dobrej rodziny. Myślę, że w pewnym sensie uratował go ten wyjazd, bo być może w Sobieszowie jego życie poszło by w innym kierunku. Moja rodzina – poza ojcem, była fajna i ciepłutka. Pamiętam kaflowe piece i duże niemieckie łóżka: potężne zaszczane sienniki, bo wszyscy – z nerwów, z

dziadostwa, jakie się wtedy działo w domu, sikali do łóżka. I pamiętam, że obszczywaliśmy się wszyscy nawzajem. Niekiedy siostrę, bo raczej rzadko z siostrą spaliśmy. Spało się w jednym łóżku na przykład we trójkę – ja z Adamem a Roman w nogach. To było po prostu normalne: kto śpi dzisiaj w nogach. Jedno niemieckie łóżko zaszczywały trzy osoby...Rano budziliśmy się z przyklejoną do tyłków gazetą, w którą chowaliśmy cukier, bo każdy z nas lizał na dobranoc skradziony z kuchni cukier...Tak było prawie codziennie - przyklejone na dupie literki. W moim domu czuć było zawsze pastę- w niedzielę i święta bardziej, bo matka pastowała wielkie podłogi. To były takie szerokie dechy gdzieś tam pokrzywione, ale zawsze czyste i wyszorowane. Pod naszym domem, za ogródkiem znajdowało się pole kukurydzy należące do faceta z „dolnego” Sobieszowa. Nazywaliśmy go „Kukurudzu”. Bawiliśmy się w tej kukurydzy bijąc się kolbami. Dzisiaj w tym miejscu stoją garaże. Wszystko się zmieniło. Chodziliśmy też do ogródka „eksperymentalnego” znajdującego się przy szkole rolnej. Rosły tam niesamowite warzywa uprawiane przez uczniów: olbrzymie kalafior, kapusty... Szło się przez żywopłot jak na obiad, nawet w obecności ludzi. Trzeba był się czołgać i kłaść na ziemi jak ktoś głowę obrócić. Wyrwaliśmy stamtąd kalarepy, marchewki, pomidory. Nawet jeśli w domu coś się zjadło, to i tak szło się do ogródka na „surówki”. Klimat był przepiękny. Zachwycaly mnie zimowe jabłuszka, ułożone na piaseczku. Były też śliwki z pomarszczoną skórką. Owoce smakowały bardzo soczyście i słodko pomimo mrozów na dworze. Przez swoją małość stawały się niezłym dziwem... Ciekawiły jabłuszka na choince... Dom był bardzo biedny, bardzo złąkniony przez wariactwa i pijaństwa...Przez powroty ojca. Najgorsze były te powroty. Zawsze słychać było jego stąpanie po schodach – bardzo charakterystyczne. Utykał na jedną nogę, bo coś tam miał z miednicą w dzieciństwie i też kopów w tamtym czasie przyjął wiele. Więc jak dzieciństwo miał do dupy to po części cały jego dorosły świat był przez to stuknięty i nerwowy. Zawsze był ubrany „galowo”. Jako garnitury nosił mundury wojskowe – po wujku Januszu, który był oficerem lotnictwa. Były też zielone mundury po wujku Waldku, a potem zaczęły się mundury listonoszy. Był taki czas, że pracował bardzo sumiennie jako poważny listonosz. Jeździł na rowerze składaku i lubił tą robotę. Skończyła się chyba z jego starości – bardzo to przeżywał. Rozumiem go, bo gadał sobie z ludźmi, czasami częstowali go żarciem...może to był szacunek. Widziałem jak krew tryskała z jego twarzy, kiedy krzyczał, jak dostawał „białej gorączki”. Zawsze mówiliśmy, że ma „białą gorączkę”, że „piana” mu z mordy leci. Ojciec to w ogóle wielkie pieprzone dziwo i aż głupio mówić... Rozpędził, rozwścieczył całą naszą rodzinę. Jak przychodził z pracy to wszyscy raptownie spieprzali i chowali się po kątach. Potrafił rozpierdolić całą chałupę w drobiazgi, na przykład w szale jakimś, bo pracował w Celwiskozie – zakładzie bardzo stukniętym, gdzie wiskoza w połączeniu z alkoholem stwarzała paranoje w mózgu. Kilkoro ludzi z Sobieszowa tam pracowało. Pamiętam taką jedną sytuację, zresztą wszyscy moi bracia i siostra to zapamiętali, kiedy wrócił z pracy i nie było jego obiadu. Jego kalafiora. Marek swojemu koleźce dał głodnemu, bo zawsze ktoś do nas przychodził – oczywiście jak starego nie było w chacie. I dał mu wiedząc, że to jest ważna rzecz, że to jest obiad. Nakarmił kolegę. No i ojciec dostał takiej „piany”, takiej furii, że powypieprzał wszystkie naczynia. Wyrzucał wszystko, tłukł...Myśmy siedzieli w kącie, na takim podeście przy alkierzyku, z siostrą i młodszym bratem Romanem. Piszczeliśmy ze strachu a on rzucał wszystkim i wrzeszczał gdzie jest jego kalafior. I takich sytuacji było wiele – tylko raz o kalafior a raz o jakieś inne gówno. Miłość? Tam nie było miłości. Miłość była tylko w naszych złąknionych serduszkach. Tuliliśmy się do siebie i do matki, bo żeśmy się czuli. Starszy opiekował się młodszym i tak samo było w zdobywaniu żarcia. Dziwem niebywałym jest fakt, że mój ojciec jest takim bogobojnym facetem. Chodził trzy razy dziennie do kościoła ale wpięprz dostawaliśmy za to, że nie było nas na mszy, bo woleliśmy grać w „Pikora” czy strzelać z karbidu.

Najgorszym jest fakt, że było to aprobowane przez księdza. Pamiętam, że na Boże Narodzeni głąskał ojca po głowie i „Marianciu”...Marianciu był starym ministrantem i śpiewakiem w chórze, był też grabarzem przez jakiś czas. Grabarzem? To mogło być ciekawe... W każdym bądź razie chodzi o to, że cały czas miał przyzwolenie od księdza. W Polsce jest takie właśnie zasrane przyzwolenie, że facet pobije żonę, rozpieprzy dzieci po świecie, rozjebie jakieś wartościowe sytuacje- pójdzie się wypowiada i w dupie ma. I dalej „Marianciu”, tu główeczka, świętych obrazków dużo i wystarczy... Coś z tym nie tak: obić komuś mordę by za chwilę się przytulić, trochę krzyżem poleżeć, odgibać swoje i dale jazda... W Pławnej też tak jest. Ludziom się wydaje, że na co dzień można robić różne gówna a w niedziele na mszy wszystko zostanie wybaczone. Taki kościół to jest łatwizna. Ale dla dziadów zwiedzionych minimalizmem to taka mądra rzecz: zamiast knajpy – refleksja w pięknym, teatralnym miejscu, gdzie na parkingu przykościelnym znika równość...Stary miewał jakieś przebłytki, jak każdy normalny, człowiek. Wyparował mu po jakimś czasie alkohol. Jest jaki jest: niedostępny i mało komunikatywny, ale rozprawił się z gorzałą i głupawym światem. Szkoda, że tak późno, bo byliśmy już poza obszarem jego trzeźwości. Dzisiaj ojciec umie kochać swoją żonę na cmentarzu niż po prostu w życiu.. Olewam go, bo był czas, że można było się kochać, gadać...Cała moja rodzina rozjechała się po Stanach, „Francjach” , po jakiś zadupiach. I ani życia rodzinnego ani nic. Temat ojciec to niezła mina. Odczuwam tylko lęk, strach i cały czas histerię fruujących popielniczek, potłuczonego szkła, piszczenia, skakania. Paranoja... On się z tego ocknął, ale to wszystko już o dupę potłuc...Wszyscy pomagali matce, z matką jak z Aniołem...Ale ojciec? Nigdy z nim nie rozmawiałem, choć prowokowałem często. Wszystko, co robiłem było złe...To ja zawsze mówiłem a on niby tego słuchał, ale raczej nie brał w tym udziału. Nigdy nie był moim przyjacielem tylko jak dwójka to „wpierdol”, jak ucieczka z kościoła to „wpierdol”. I takie były nasze relacje...

Mimo całej paranoi jaka panowała w domu, świat dzieciństwa jawi mi się jako piękny i naiwny czas, który nie do końca został zdominowany histerią ojca. Stary miał rzeczywiście bardzo duży wpływ ale wydarzyło się kilka historii, które pachną taką magią dziecięcych zabaw, namawiań się i opowieści o duchach przy cmentarnym murku... W słoneczne i ciepłe dni siedzieliśmy wszyscy przed domem na podwórku. Dorosli i dzieciarnia- wszyscy razem – starzy przy rozmowie a my przy popisach. Biegałem wokół stodoły, z oszczepem i tarczą, w jakiś zrobionych przez siebie spodniach. Myślałem, że wszyscy na mnie patrzą, ale czasem tylko matka coś powiedziała: „zobacz jaki zdolny sam sobie spodnie uszył dratwą”. I tak popisywaliśmy się jeden przez drugiego, bawiliśmy się w wojny albo graliśmy w piłkę. Dzieciaków było od cholery. Wszyscy trzymali się razem. Geruzel całymi dniami naprawiał swoje motory- nawet w niedzielę, czym wkurwiał mojego starego. To był pewnego rodzaju ceremoniał, bo odpalał motor raz na tydzień, albo na jakiś dłuższy czas. Bardzo rzadko nimi jeździł, w zasadzie w ogóle. Był piękny w swoim naprawianiu dziwolągów, które ledwo trzymały się kupy. Kojarzę jego robotę z czołganiem się po ziemi i rozłożonymi kluczami. To był taki rodzaj terapii na środku podwórka. Geruzel nigdy nikogo nie zaczepiał i nie udawał, że jest najmądrzejszy – w przeciwieństwie do mojego ojca, Starzy robili swoje: stary– oczywiście jak najbardziej wyalienowany, rąbał patyki, Geruzel rychtował motor, Józek lekko pijany krzątał się po ogródku. Faceci popijali winko w altance ojca skąd czasami dochodziły pijane odgłosy. Ktoś sobie kręcił żółtko, ktoś zajadał pajdę chleba...Geruzelowa wynosiła zydelek i obierała kartofle, sąsiadka Ania robiła coś na drutach, moja matka cerowała nasze rzeczy... Nikt nie chciał iść do domu, nikt nie chciał nastawiać „obronnych kartofli”, wszyscy woleli przebywać razem, rozmawiać i rechotać przy jakiś swoich robótkach ręcznych. Letnią porą siedzieliśmy się naprawdę do późnej nocy. Bawiliśmy się w

chowanego i przeżywaliśmy całą dziecięcą magię wieczorów z księżycem. To były piękne podwórka, które nie przydarzą się już więcej światu - ten czas minął bezpowrotnie. Pobywaliśmy ze sobą bardzo domowo – bez dachu ale jakby z meblami. To był rodzaj takiej wspólnej kuchni gdzie wszyscy sąsiedzi się lubili. Wszyscy się szanowali, oprócz starego, któremu wiecznie coś się nie podobało. Wychodził zza rogu domu i nigdy nikomu ani „Dzień dobry” ani „jak się macie” . Stać go było na jakąkolwiek serdeczność czy wesołość jak był pijany. Na trzeźwo miał pretensje do całego świata. Nie uczestniczył w niczym. Wolał przeglądać swoje klasery, czyścić swoje skarby, z których nigdy nie korzystał, albo rąbał pieprzone patyki. Raz tylko pamiętam jak ojciec przewiózł nas w drewnianej, drabiniastej taczce. Nie była to oznaka miłości – po prostu była taczka i był kurs: w jedną stronę z gnojem a w powrotną - z gówniarzami. Oprócz starego, który był totalnym ignorantem był jeszcze nasz sąsiad Kiezuć – Ukrainiec. Do nikogo nie przychodził, z nikim nie rozmawiał. Miał swoją ławkę, na której siedział samotnie i obserwował wszystko co znajdowało się w zasięgu wzroku. Gardził światem, na który był wręcz śmiertelnie obrażony. Kiezućowie mieli dwóch synów – Zbyszka i Rymka. Zbyszek był pięknym, spokojnym chłopakiem i przyjaźnił się z Włodkiem a Rymek szedł po linii ojca. Był taką małą mendą, ale kumplowaliśmy się wszyscy na jednym podwórku. Stary Kiezuć pracował w „GeS-ie”. Dostawaliśmy czasem od Zbyszka mleko w proszku i pozlepiane landryny, które ich ojciec przynosił z jakiejś inwentaryzacji. Mleko było zazwyczaj przeterminowane i zbrylone ale był to prawdziwy smakołyk. Zawsze gdzieś je sobie podpieprzyłem i zjadałem w ukryciu. Kiezuć był prawdziwym sukinsynem, bawiło go tylko cudze nieszczęście. Zawsze się cynicznie, głupkowato uśmiechał. Pamiętam taką sytuację kiedy razem z Adamem wracałem z Pawilonu na jakimś kradzionym rowerze. Adam siedział maciupki na ramie a ja kierowałem. Miałem ze sobą torbę cukierków, które chciałem koniecznie zjeść. Oddałem kierownicę Adamowi i chwilę później leżeliśmy na krawężniku. Poturbowaliśmy się strasznie. Wracaliśmy do domu z płaczem i pozdzieraną skórą. Po drodze spotkaliśmy Kiezućcia, który-zamiast nam współczuć, cynicznie się zaśmiał, że znowu coś się komuś stało. Zawsze zadziwiali mnie ludzie, którzy dawali sobie prawo gardzenia światem. Jeśli wytwarzasz fajną energię, jeśli oczekujesz komitywy ze światem musisz najpierw coś dla niego uczynić, pokazać, że oto „dzień dobry jestem sobie ciepłym ludkiem”... może niektórzy ludzie nie potrafią przeskoczyć pewnych spraw związanych ze sobą, ze swoimi kompleksami i strachem... nie wiem. Żyliśmy w atmosferze obecności niemieckich wspomnień i przeszłości. Bawiąc się w jakąś zabawę – najczęściej w wojnę, człowiek zawsze strzelał do faszystów. Nikogo nie interesował fakt, że jadło się przy niemieckim stole, z niemieckich talerzy. Nie istniało pojęcie „Repatrianci”, czy „Wygnańcy”. Byliśmy „my” – „zdobywcy” jakiejś krainy, w którą każdy na swój sposób się wpisywał. Moja świadomość przesiedlenia narodziła się z biegiem lat. Człowiek zaczął myśleć i analizować skąd się tu wziął itd. Ale wtedy? Nikt się tym nie interesował. Po prostu: był sobie „ktoś” i przestał być. Ważne były tylko skarby jakie Niemcy po sobie zostawili odjeżdżając gdzieś w pośpiechu. Były w każdym miejscu: w ziemi, w kanałach, pod murami domów, za murami, w stodołach, w piwnicach, za piwnicami. Poukrywane gdzieś na poddaszach, na strychach – wszędzie schowane były skrzynie z dobytkiem. Krążyły różne historie na temat tego co zostało ukryte, lub co kto odnalazł. Każde miejsce miało swoją opowieść, wszystko miało swój wymiar i znaczenie. Ocieraliśmy się ciągle o jakby dwa światy – nasz i poprzednich mieszkańców. Czasami czuło się namacalnie obecność tego drugiego, jakby ciągle w powietrzu unosiły się duchy czy zjawy. Wszystko nocą szeleściło, szurało... nasz dom sąsiadował z cmentarzem. Nie wiem na ile sytuacja ta była związana z pobudzoną wyobraźnią a na ile prawdą. Nie mogę jednak pominąć faktu istnienia duchów.

Uciekałem z domu już od „bardzo małego”, ale blisko – na kilometr. Dopiero

za czasów hipisów wyjeżdżałem gdzieś dalej – w Polskę. Im byłem straszny tym bardziej się oddalałem. Najpierw mieszkaliśmy pod schodami- w komórce, później w jakimś kurniku, później w lesie. Tam było bezpiecznie, ale i przerażająco. W lesie zaczęła się cała moja przygoda z plastyką, instalacjami i malowaniem. Sam rzeźbiłem swoje tarcze, później malowałem na tym jakiegoś szamana i obszywałem to skórą. Byłem takim „Szewczykiem Dratewką”, który-ze skóry królika, potrafił zrobić cuda... Budowaliśmy szałas, ale najważniejsze były bunkry. Wiązało się to z wojennymi , skojarzeniami. Wszystko, co było pod ziemią było niemieckim bunkrem obronnym... Nawet betonowa pompownia. Ważniejsze było nie to, co stawiane na ziemi, tylko to, co w głąb niej. Więc sami też budowaliśmy bunkry. Zawsze z tego tytułu miałem problemy ze starym, bo kradłem mu szpadel. Łopata, siekiera – to były wielkie sprawy. Wtedy szpadel to był szpadel: trzonek był nasycony, tłusty od potu, od roboty -a dzisiaj ? Kosztuje tyle co dwie paczki fajek. Bunkry budowało się obok jakiegoś drzewa. Przykrywaliśmy doły gałęziami i kładliśmy na to wszystko darń ziemi. Wchodziło się spod spodu. Siedzieliśmy w takiej ziemiance i snuliśmy plany. Paczka „sportów dziesiątek” i pomalowana mordka. ***** ...ciekawe, że zawsze do lasu uciekali partyzanci i ja – przy każdej okazji. Las był dla mnie rodzajem domu. Na półkach skał przykrytych mchem i igliwem zawsze coś do zjedzenia. Strumyki na ugaszenie pragnienia, obecność zwierząt. To ważne jeśli czujesz się zbyt chorobliwie sam. W lesie była nieduża polana- jak teatr. Krzyczałem na wymyślonego wroga i popisywałem się przed krzakami dzikich jagód. Rozwalała mnie teatralność natury i ludzkich spraw, które nagle gdzieś znikają. Wszystko jest czyste, nie dotknięte palcem cywilizacji. Nie ma brudu, tylko mnogość i czystość struktur. Wchodząc do lasu stajesz się jakby drzewem. Sam ze sobą w innej bajce. Człowiek, który nie potrafi ogarnąć spraw kosmosu, niech lepiej zajmie się wypiekaniem chleba. Leżąc na ciepłej od słońca ściółce, otulony świerkowymi gałęziami, marzyłem o lepszym świecie. Zajęte, żuczki, motyle...nawet robaki inaczej wyglądają. Są przyjazne człowiekowi, bo nie powstały z jego syfu. Tam gdzie zabudowania i ludzkie szamba, robaki istnieją jakby przeciwko człowiekowi. Kojarzą mi się przede wszystkim z cmentarzem, ze śmiercią. „domowe” robaki są zdecydowanie nieprzyjemne. Może dla mnie las był, tłem do takich zdarzeń jakie się w moim dzieciństwie wydarzyły. Może inni potrafią odkryć coś innego? Kiedy powalałem ogromne drzewa strażacką siekierą, czułem się naprawdę wielki i silny. Tam nauczyłem się być czujnym, przewidywalnym i rozsądnym na swój sposób. Ciekawiło mnie jak przed wiekami ludzie radzili sobie z zimnem, jak przygotowywali zapasy. Ja miałem ułatwioną sprawę, bo wieczorami schodziłem do miasteczka i buszowałem w komórkach czy piwnicach. W lesie trudno się wyżywić, leśna koniczyna jest bardziej dodatkiem do śniadania, niż samym posiłkiem. Podobnie borówki, jeżyny, maliny jagody... po pewnym czasie człowiek zaczyna odczuwać większy głód niż sytość – po tych owocach. Żarło się prosto z krzaczka, albo gotowało się kisiel. Nigdy nie zapomnę zapachu poziomek... Ganiało się za sarną z jakimś łukiem, ale oczywiście nic z tego polowania nie wychodziło, bo sarna „czmych, czmych” – i już jej nie było. Zastawialiśmy też sidła, w które sami się wpięprzaliśmy. Tak, więc zwierzaka nigdy nie upolowałem, nawet zająca nie było taką prostą sprawą, mimo, że było ich od cholery. Co innego wypuścić kurę w lesie, zakoszoną wcześniej w kurniku, i polować na nią z dzidą. Aż do gara. Kiedy było ciepło – krąg życia powiększał się, zawężał - kiedy pojawiała się zimno. Najlepiej ilustrowało to sranie. Im zimniej tym bliżej się srało. Wszystko działo się blisko ogniska. Na zimową noc musiałem szykować sobie drewno – nie gałęzie, które po godzinie przestawały istnieć, tylko bele. Budowałem legowisko z choinkowych gałęzi, na to kładłem jakąś plandekę z samochodu i spałem z przerwami na dołożenie do ogniska. Dzwonkiem na pobudkę było zimno. Jeden bok ciała był zawsze nagrany a drugi zimny jak cholera. Kiedy wstawałem musiałem wymieszać ten stan. Dziś swoje dzieci zabieram do lasu by

pokazać im jak w zimie musieli sobie radzić ludzie, by przeżyć. Po takich wycieczkach wracają mądrzejsi. Jednak sam nie mogę pojąć jak w tamtym czasie dawałem sobie radę śpiąc pod skałą przy zamku Chojnik w Sobieszowie. Człowiek był „zahartowany”, może dlatego dzisiaj nie choruję na żadne „grypy”, „anginy”. Moja rodzina, która co roku się szczepi – zawsze ląduje w łóżku. Brud i zimno są niebywałą szczepionką. W lesie przez cały dzień bawiliśmy się w Indian, lub czterech pancernych, nawet kiedy było nas tylko dwóch. Najpiękniejsze były słoneczne poranki. Przecierałem zapyziałe od dymu oczy i prostowałem kości. Bywało, że ktoś zwiął rano ze szkoły i dołączył do mnie z kanapkami – to było bardzo przyjemne z jego strony. Było co mlasnąć i do kogo gębę otworzyć. Uciekłem raz do kanionu. Wywożono stamtąd kamienie i powstała wyrwa w głębi lasu. Zrobiliśmy tam swoją „bazę”, w której urzędowaliśmy jako dzieci a później jako hippisi. Miałem swój szałas, gdzie razem z kumplami bawiliśmy się w Indian. Kiedy zbliżał się wieczór i zaczynał zapadać zmrok, wszyscy szli do domów i zostawałem jak zwykle sam. Rozpalałem ognisko i coś tam sobie pichciłem – jakieś zupy gotowane w puszcze, albo w starym rondlu. Co jakiś czas słyszałem jakieś szmery, szelesty, łamanie gałęzi. Wyskakiwałem z szałasu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Światło padało tylko z ogniska. Byłem widzialny, ale sam nikogo nie widziałem. Bywało tak, że między drzewami przemykały sarny i dziki. Dwa razy widziałem nawet muflona, co w sobieszowskich lasach jest rzadkością. Którejś nocy zobaczyłem na skraju kanionu postać mężczyzny. Wybiegłem z szałasu i zacząłem krzyczeć – ze strachu i z chęci przepędzenia tego kogoś. Najlepszą obroną jest atak. Chciałem, żeby ten facet pod wpływem mojego krzyku coś powiedział, ale on stał w milczeniu. Po chwili odszedł, nie mówiąc ni słowa...”Srałem” ze strachu, byłem wtedy dzieciątkiem. Miałem 10 – 11 lat. Bałem się bardzo. Nie wiedziałem, kto to i jakie ma zamiary... Siedziałem w lesie dwa dni, później trzy, tydzień - mój rekord to dwa tygodnie. Szło mi tak źle w szkole, że dostawałem poważny „wpiernicz”... i tak się bałem tego bicia, że zacząłem uciekać. Tornister gnił w liściach przy szkole a ja „gniłem” w lesie w ziemiance. Nie mieściłem się w ogóle w realnym świecie- siedzenie na lekcjach i słuchanie tych pierdół... Dyrektor lał mnie gumowym pasem(ale należało mi się). Obrywało mi się też od woźnego, który w ten sposób chciał mnie nauczyć „elementarza kultury”, choć sam nie był chodzącą „kulturą”. Nie rokowałem żadnych nadziei na bycie dobrym. W szkole postrzegano mnie jako nieuka, lenia i złodzieja. Trochę sam sobie wyrobiłem taką opinię kombinując zdecydowanie za dużo... Okradłem sklepik szkolny. Przez strategię, przez myślenie i przede wszystkim przez czasy w jakich się to stało był to wielki napad. Sklepik znajdował się pomiędzy naszą klasą a dużym korytarzem. Dostawialiśmy wieszak do ściany, przy której wisiała lampa zastępująca okienko wentylacyjne. Odsuwałem sobie lampę i przez to maciupkie okienko wskakiwałem do środka. Potem otwierałem drzwi Bogusiovi Chlebnemu – mojemu pięknemu koleżce. Nikt nigdy nie wpadł na pomysł, że taki szkielet jak ja – nazywali mnie „Trupek” w tym czasie, mógł się przedostać tą drogą. Na początku kradliśmy drobniaki, żeby nie dać się poznać. Uczniowie dokładali z własnej kieszeni, bo coś się nie zgadzało. Z czasem jednak raczyliśmy się czym popadło-zabieraliśmy sobie jakieś wkłady, długopisy, lizaki, gumki do mazania. Kiedy popadliśmy w rutynę- kradliśmy podczas lekcji. Wyrzucano nas z klasy – na przykład najpierw mnie, potem Bogusia, i wskakiwaliśmy do sklepiku. Wyczyn z dużym strachem, bo przecież działa się to w czasie kiedy każdy mógł wejść i wyjść z klasy, ludzie się przemieszczali...mimo wszystko łoił się ten sklepik ile się dało. W czasie trwania lekcji robiliśmy to błyskawicznie. Przychodziliśmy także nocą. Zostawialiśmy otwarte okienko w piwnicy szkoły i wskakiwaliśmy do środka. Gościliśmy się pysznie.... ja byłem sprzedawcą a on kupującym i odwrotnie. Nikt nigdy w życiu nie dopuszczał nas do tego sklepiku, bo tylko prymusy i inne postacie w „białych kołnierzykach” mogły prowadzić interes. Uczniowie uczyli się gospodarki, ekonomii, handlu i

rozdziawiania w głupiej pozie gęby bo żeśmy na „rozdziawianie roczne” zostawialiśmy biednych sprzedawców z wielkim mankiem na koncie. Sklepik był okradany okrągły rok. Przybywało tylko zamków na drzwiach, bo pan Ciepela – wielki strateg, wymyślił, że ktoś dorobił sobie klucz. No i wstawiano jakieś „łuczniczki” i inne cholery a towary dalej ginęły... nikt nie widział innej możliwości wejścia... zaś ja nie miałem z tym żadnego problemu bo odsuwałem sobie sprytnie lampę i przemykałem się jak gnida do środka. Trwało to tak do momentu kiedy mój brat sierota – Roman dowiedział się, że skubiemy szkolny sklepik. Któregoś razu drapnęli go podczas zajęć w świetlicy dla „trudnej młodzieży”. Mieliśmy wtedy próbę zespołu w którym grałem na perkusji. Przypaliła go sprzątacza. Pamiętam jak przyszła i powiedziała, że złapała Milińskiego w sklepiku... włos mi stanął na głowie. Kiedy wszyscy pobiegli zobaczyć mojego głupiego brata, razem z Bogusiem pobiegliśmy do domu zabrać swoje manatki i do lasu. Wiedzieliśmy, że w pierwszej kolejności sygnie nas, bo przecież nie przyzna się, że przez cały rok okradał sklepik. Uciekliśmy tym razem aż pod Chojnik gdzie miałem swoją kryjówkę pod wielką skałą. Uciekłem wtedy na dwa tygodnie. I znowu sobie żyłem, polowałem, biegałem z łukiem, z oszczepem...znowu byłem sam, bo Boguś nie wytrzymał nawet jednej nocy. Moi koledzy nie potrafili dać sobie rady w takich warunkach, w takim klimacie. Spieprzali jak tylko zaczynało się ściemniać. W domu dostawali „wpiernicz” albo i nie – zależy jakich mieli rodziców. Jakoś to u nich było, a u mnie nie - wiedziałem, że będzie przesrane. . Po kilku dniach moi pieprznicy kolesie – z Bogusiem na czele, przynieśli mi do lasu perkusję, żebym sobie ćwiczył pod tą skałą i –tym samym, wydał swoją kryjówkę. Nie pamiętam, żebym miał z tego tytułu jakieś problemy z milicją. Rozeszło się to po kościach, rozmyło jak każda sprawa. Ludzie szybko zapomnieli. Miewałem też takie stany, że chciałem być dobrym uczniem i dobrym dzieckiem, zazwyczaj wtedy kiedy dostawałem poważny „wpiernicz”. Pilnie się uczyłem i pilnowałem się na lekcjach. Nauczyciele często mówili, że jestem zdolny ale leniwy, jednak chęć poprawy nie trwała długo – może 2, 3 dni, po czym budził się we mnie idiota. Uwielbiałem błaznować na lekcjach, zresztą wyzywali mnie od najprzeróżniejszych debili. Chciałem zwrócić na siebie uwagę, bo nikt się mną nie interesował. Klepałem jakieś głupoty na przykład na lekcji kultury fizycznej powiedziałem Popkowi – pięknemu nauczycielowi, że „penis mu się odznacza” bo gdzieś usłyszałem, że chuj to penis...na co Popek zareagował inteligentnie – „Darku jestem bardzo zadowolony, że tak fachowo operujesz językiem”. Idioci porechotali się a ja zostałem głupkiem na własne życzenie. Jeszcze gorzej czułem się kiedy na lekcji religii zapytałem księdza: „Dlaczego nasi przodkowie nam chuja dali?”. Ksiądz strzelił mnie od góry w łeb i trzasnąłem brodą o ławkę. Walnąłem tak mocno, że przegryzłem zębami dolną wargę na wylot. Ksiądz się speszył i zaprowadził mnie do starego proboszcza – przyjaciela rodziny. Proboszcz mnie opatrzył i opieprzył księdza. Na pocieszenie dostałem garść cukierków i poszedłem do szkoły na akademię. Całe szczęście, że występowałem w masce, bo miałem całą mordę wymazaną piochtaniną. Grałem jakiś epizod – występowałem w roli dziada. Maskę miałem przepiękną, zrobioną przez Włodka.

MOTYWY: ŁYŻKI DIABŁY I TE INNE

Kapelusz wędrowca był futerałem na grzebień, karty, piórko i łyżkę. Micha mogła być wspólna, ale już w średniowieczu ludzie zdawali sobie sprawę z plagi chorób i przenoszenia zarazków...łyżka jest intymna jak majtki, których nie można pożyczyć kumpłowi na osiemnastkę... chyba, że zostaną naciągnięte –jak abażur, na głowę i spowodują niezły kabaret. Z łyżką wędruję od lat '70-tych. Namalowałem wtedy pierwszy obraz „Zaproście mnie do stołu”: chudy ludek z dwu metrową łyżką i makaronem pod pachą, jak

z mądrą księgą. Wlokłem się w upale i głodzie. Radziłem sobie na swój sposób, bo apetyt na życie miałem wielki. Stworzyłem bardzo widzialną łyżkę – trochę dla pozy, by świat wiedział w jaki ciężki sposób rozprawiam się z egzystencją...Tu się płot naprawi, jabłoń podeprze belką – dostaniesz zupełne zaproszenie do michy. Dobrze jest wędrowcom jeśli mają cel. Moja kręta droga- z łyżką w jednej ręce, a pasją w drugiej, zakończyła się. Nie muszę już wygrażać światu łyżką, ani gasić głodu taką pazernością na świat. Złożyłem swoją kolekcję siedmiu łyżek w rekwizytorni. Ściśnięte – rechoczą cichutko, albo popłakują. Czasem zabieram je na wystawy trochę jak pudła na smyczy albo jak pamiątnik. Wyciągam jedną z nich jak bierkę by popisać się przeżyтыми sprawami. łyżka jak rysunek na wystawę jak bilet, bo w pewne miejsca wpuszcza się tylko kombatantów. łyżka staje się legitymacją, dumą koroną Są jak kości, na których zapisałem duży rozdział swego życia. Nie ma nalepek podróŜnych. DostrzeŜesz jednak gołym okiem gdzie i po co byłem, bo kaŜda z nich ma duŜo do opowiedzenia. Anioł w sztuce ludowej zadomowił się od stuleci. Istnieje w niej trochę z ławizny, jest jak konfesor z księdzem w ŝrodku, niczym dobra maszyna do odpuszczania grzechów...jeszcze chwilę a człowiek stworzy rozgrzeszający komputer z otworem na pieniãzki. Im wiêcej grzechów tym wiêkszy otwór... a na desce przy monitorze namalowany anioł, który wybacza i chroni. Ciekawe, ŝe ludkom ani kościołowi, nie zaleŜy na zjednaniu się nieba z piekłem. JeŜli niebo ma sens i jest najlepszym wzorcem dla ludzi, czemu jako coŝ mądrejszego, nie potrafi pogodzić się z piekłem jak ze złym sąsiadem. Anioły to koronki, pierza, chmury...aŜ mi ŝal diabłów, ŝe sã ciãgle w dole. MoŜe gdyby ktoŝ wyciãgnãł do nich rękę i „podciãgnãł” na chmurkę, mieli by szansę zobaczyć jakie znaczenie ma dobro. Diabły nie majã ŝwiadomości dobrych uczynków ani ŝwiadomości nieba. Skãd mogã widzieć o istnieniu dobra? JeŜli anioły schodziłby do piekła, pierwsze z nich poszły by na straty, ale juŜ następane dogadywały by się bez problemu. W pewnym momencie diabeł zobaczy, ŝe nie ma z kim i po co walczyć. Zobaczy ten rodzaj dobra, choć w całej historii ŝwiata diabły sã przekłête. Diabły mieszkajã smołę, mieszkajã tam gdzie najgoręcej. Najwiŝszy czas by powoli ich wciãgnãł – najpierw na ŝwiat piękny i jasny, a potem do nieba. Najciekawszã rzeczã jest „mix” piekła z niebem: czerwony diabeł i biały anioł, tworzy nam rodzaj róŜowego ŝwiata. Nie potrzebne sã róŜowe okulary, ŝeby być ŝczêśliwym, nawet głupekowato zachwyconym. Niech bẽdã diabły. Jak zgrywusy na ŝwiecie. Nikt normalny nie wytrzyma z nudnymi i dobrymi aniołami. Ale sã teŝ anioły przemyskajãce, które widzimy kãtem oka. Najbardziej wywołane płaczem do ochrony rodziny i męŜa przed upiciem. Upoić to się jeszcze moŜna, sam anioł mógłby pociãgnãł jak ksiãdz na weselu. Lubię księŜy popijajãcych na weselu, przez co sã bardziej ludzcy. Anioły wywołane bólem, zdradã i łzami, sã silniejsze i srogie. Potrafiã przywalić w mordę. Bój się bo majã wygimnastykowanã łapę. Chodzã po chmurach – najczêściej kiedy pada deszcz i pioruny walã – przecieŜ jest to nadal niebo! Inne – takie subtelne i schowane za gwiazdy, takie od przejŝcia dzieci przez kładkę, łaskoczã złocistymi lokami. Sã to anioły Szpetów i piórkowych dotyków. Po prostu: jednych trzeba przestraszyć marskoŝciã wãtroby i strzałem w ryj, a innym wystarczy ostrzegawcza pieŝń. Bywa, ŝe anioły irytujã... najczêściej mãdrali co juŜ wszystko wiedzã i nie dajã się omamić tym prostym zwyczajom. Ci to majã najbardziej przejebane w rozrachunku na koniec swojego ŝycia.

BOLESŁAWIEC

Leŝałem w Bolesławcu w psychiatryku. Na oddziale 14b. Siedziałem tam dwa miesiãce. Byłem zdrowy, ale to brzmi ciekawie, co? Őwirowałem tam przed wojskiem, wykryli u mnie schizofrenię czy jakãŝ innã paranoję. Właŝnie wtedy puŝcili w telewizji program „Szansa”. Napisałem tam list z proŝbã, ŝeby mnie

ktoś ratował.

Kiedy Kacper miał się urodzić dostałem pierwsze wezwanie do WKU na komisję wojskową. Miałem jakieś dziewiętnaście lat. Panował taki klimat, że wszyscy hippisi spieszyli do wojska. Mój starszy brat na przykład zjadł jakieś surowe ziemniaki, ktoś tam coś jeszcze i udawało się. Na początku było bardzo łatwo. Kiedy dostałem wezwanie, nastrój „łatwizny” się niestety zmienił. Człowiek musiał się nieźle „nacudować” żeby go nie wzięli do wojska. Więc kiedy poszedłem po wpis zacząłem na „dzień dobry” robić z siebie debila. „Psychiatryk” był wtedy modną ścieżką. Chodziło się do psychiatry „wyrwać” jakieś leki, czy narkotyki. Hippisi i narkomani to był niezły kłopot. Nikt kompletnie nie wiedział jak sobie z tym radzić. Dzisiaj to co innego bo narkomanów jest od cholery. Wtedy to było coś nowego i tylko koleś „od czubków” mógł poznać naćpanego „pastą” (percopanem). Po wpisie dostałem wezwanie na komisję. Oczywiście wystroiłem się na tę okoliczność specjalnie, choć nikt mi nie mówił co mam robić. Zrobiłem tak ze strachu. O wojsku nie mogło być nawet mowy. Byłem przecież wybitnym artystą. Założyłem wełniane, seledynowe gacie mojej matuli, dwa różne buty z kolorowymi sznurówkami...Komisja była w Cieplicach. Już na korytarzu zacząłem robić nieźle jajca. Pamiętam, że podłamałem się trochę, bo trafił się taki „Mikuś”, z którym chodziłem do szkoły. On miał naprawdę coś ze świra – jakieś psychopatyczne sytuacje. Więc kiedy wykonywałem różne „gesty” – na przykład odliczałem na głos swoje kroki na korytarzu, Mikuś co jakiś czas przeszkadzał mi okrzykiem przez co łatwiej można było posadzić mnie o jakieś wygłupy. TUA On poszedł pierwszy a ja po nim... miałem być rozebrany a wszedłem w wełnianych „pantalonach” i w białej koszuli z czerwonymi serduszkami, którą byłem opatulony. „ Proszę się rozebrać, tu jest naprawdę ciepło”. Podszedłem do jednego z psychiatro – coś, którego sobie upatrzyłem. To był lekarz, u którego łatwo było wyrwać jakieś recepty. Wtedy tak się robiło, że szło się do jakiegoś lokalnego psychiatry i brało się różne rzeczy o czym nikt oczywiście głośno nie mówił. Podszedłem do tego lekarza i mówię: „Boli mnie serduszko. Bardzo od chłodu się trzęsie...” Zacząłem – przyciszonym głosem paranoika, opowiadać o swoich chorobach. „Nie, nie – można się tu śmiało rozebrać” ale już widzieli, że idiota bo ma gacie w deseń. Kiedy mnie mierzyli – zeszcząłem się na wagę... Zza parawanu dobiegł mnie wrzask Mikusia, który nie chciał się wypiąć -bo tam zaglądali w dupę...” Weźcie kurwa tych idiotów! Co mi tu daliście!?” udawałem, że go w ogóle nie znam i zerznąłem się na wagę, na co lekarz: „Co ty kurwa robisz?!” – „Ja się boję ...ze strachu popuściłem”. Tumult się zrobił niezły bo jeden zajmował Mikusiem, a drugi mną. i na kopach wylecieliśmy oboje. Z komisji dostałem skierowanie do psychiatry. Poszedłem do lekarza a tam: „Czym się różni jajko od kamienia?” chciałem zrobić z siebie idiotę, ale dałem się wciągnąć w jakieś rozważania filozoficzne. Zagadała bardziej moja mądrość niż chęć nie pójścia do wojska. Wygrałem coś jednak, bo na kwicie, który dostałem było stwierdzone: „Oziębłość umysłowa” (dopiero później-po kuracji w Bolesławcu, w szpitalu psychiatrycznym, dostałem diagnozę: „schizofrenia paranoidalna”). I już myślałem, że się odpięrolą, a tu odroczenie na rok ze względu na wychowanie dziecka- „jako jedyny żywiciel rodziny”. Rok minął jak „z bicza trzasnął” i znowu znalazłem się na WKU. Wiedziałem, że już tylko po bilet, więc pilnowałem się bardzo. Deklamowałem „Portnoy’a” i innych idiotów ale jeszcze wcześniej powypieprzałem wszystkie plastelinowe plomby z drzwi na korytarzu. Wszedłem do pokoju -już bez majtek, ale ze świadomością, że się dzieje źle. W środku były dwie osoby: oficer i pisząca pani. Oficer grzebał coś przy biurku a ja „hops” do tej pani. Zacząłem płakać, że serduszko mnie boli i drży, że mam palpacje itd.. Na co oni dali mi oczywiście bilet a ja bilet do gęby i zacząłem przeżuwać. Oficer zaczął mi bardzo poważnie wyrażać zrucając jakieś potężne bluzgi, że zaraz po

„granatowych” wysię. I dalej jazda: walnąłem głową o kasę pancerną, która stała w pokoju, zacząłem się tarzać, że czas na mnie przyszedł i „trza do grobu”. I po raz drugi wyleciałem na kopach bez biletu. Ale tylko na chwilę. Pracowałem wtedy w BWA na poważnym stanowisku „Starszego plastyka”, chodziłem do 4 klasy liceum. Zależało mi i na szkole i na pracy. Więc jak znowu się przyjebali postanowiłem użyć swoich „najpotężniejszych dział obronnych”. Poszedłem do pewnej lekarki a u niej tak się nakręciłem i rozhisteryzowałem, że musiała zadzwonić po pogotowie... Ale zanim do karetki -to jeszcze do BWA po swoje „fajki i kredki”. Zabrali mnie do „psychiatryka” w Bolesławcu. To było pierwszy raz. Przyjęli mnie dość szybko i „bezboleśnie”. Przegarowałem tam jakiś miesiąc łąząc sobie, obserwując ludzi i malując obrazy, za które dostawałem fajki bo oni to sprzedawali. Nie było tam ciężko...drugi pobyt nie był już taki wesoły... W każdym bądź razie kolejny raz udało mi się rozpuścić wojsko i wróciłem do roboty Dostałem za to wezwanie w celu odrobienia służby wojskowej w straży pożarnej. Ja – piroman, w straży pożarnej! Bardzo mi się to podobało ale miałem już w taką jazdę, że jak wybierałem się do jakiegokolwiek urzędu to mnie po prostu wyginało. Gadałem innym głosem z jakichś czeluści i schizofrenii. Do straży pożarnej pojechałem autobusem razem z Ryśkiem Tyszkiewiczem i moją mamą. Odprowadzili mnie do samego budynku. Miałem ze sobą całą torbę flamastrów i dupereli. Jak tylko tam wszedłem przystąpiłem do działania: najpierw podałem wezwanie a potem wysypałem zawartość reklamówki na podłogę i zacząłem bawić się flamastrami w „bierki”...pierwsze co usłyszałem to: „co to za idiotę nam tu przysłali?! Zabrać go i wypierdalać z nim!”... więc wróciłem do swoich zajęć. Ale jakoś to wojsko nie chciało mnie odpuścić i dostałem drugi bilet, którego zupełnie się nie spodziewałem. Nie byłem już takim hippisem „luzaczkiem”, zająłem się robotą, nic nie ćpałem- żadnych tabletek, ani „pasty”. Bałem się tego potwornie ale nie było innego wyjścia. Chodziło o to, żebym się przyjebał i trafił na pogotowie a stamtąd do Bolesławca. Do psychiatryka. Trzeba się było nieco nagimnastykować, żeby tam trafić. No i wziąłem percopan, Boguś Józwiak (taki mój przyjaciel od poezji i nowego wyrazu od poezji), razem z Ryśkiem zawieźli mnie na pogotowie. A tam: „może brzuszec boli...?” – „Nie”- „no to może główka?” – „Nie” -i tak jeszcze parę razy. W końcu palnąłem „coś” tak wyszukanego, że zawieźli mnie do szpitala. Pamiętam, że ostro dyskutowałem z kierowcą i pielęgniarzem, bo byłem bardzo wkurwiony i zesrany z powodu tego wszystkiego co się działo i tego co mnie czeka. Naćpałem się wbrew swojej naturze, bo naturę miałem już zupełnie inną. Na izbie przyjęć gruba baba, pieprzona –silniejsza trzydzieści razy ode mnie, nawet nie myślała o tym, żeby mnie w ogóle przyjąć. Byłem „na fazie” ale mimo wszystko wskoczył we mnie jakiś łagodny idiota. W końcu baba tak mnie rozwścieczyła, że rzuciłem się na nią i w ostatniej chwili mnie przyjęli na oddział 14b. Wskoczyłem w swoją ulubioną piżamkę, pachnącą jakimś najtańszym krochmałem. Nie było już jednak tak delikatnie jak za pierwszym razem bo zaczęły się ostre leki. Od rana do nocy – „non –stop”. Ledwo człowiek zwłóknął się z łóżka już siedział na korytarzu i tylko ślina z gęby leciała. To już nie było malowanie obrazów, pisanie, wygłupy- tylko korytarz, z kolesiami drepczącymi- jak w pierdlu, tam i z powrotem. Jedni darli mordę, drudzy coś szeptali. Niektórzy na przykład gasili sobie pożar na jajach i musieli ich związywać w pasy. „Kroma” chleba z marmoladą, kawa z bromem oczywiście, którą sam nawet mieszałem jak miałem służbę na kuchni (dziwiłem się potem dlaczego mam z chuja takiego kaptura, skoro zawsze byłem erotomanem i zawsze budziłem się z taką petardą, że do tablicy ciężko było na zajęciach podejść). Trwało to dosyć długo i te leki: przed śniadaniem, po śniadaniu, przed obiadem, po obiedzie, przed kolacją i na kolację. Leki i zastrzyki. Na zmianę. Był taki moment, że Elka przyjechała w odwiedziny. Przywiozła mi blejtramy, farby, żebym jakiś obraz skończył ale kiedy zobaczyła moją skórę to zwyczajnie zaczęła płakać, bo miałem ręce jak pergamin na kościach. Podczas tej

wizyty siedział z nami jakiś Kowalski, który cały czas gadał, że do wody podłączyli cyklon i że robią na mnie doświadczenia. Wskoczyłem na chwilę jakimś cudem z tego „ocipienia” i poszedłem do dyrektora szpitala. Powiedziałem, że już dobrze ze mną, że czuję się dobrze, że będę już greczny i żeby już na mnie nie robili żadnych doświadczeń...pamiętam, że miał moją kartę leków w ręku i w pewnym momencie przekreślił tę kartę i zacząłem otrzymywać leki żeby utrzymywać tylko taką kondycję. Wróciły mi myśli i zaczęło się dziać normalnie. Ale po kilku dniach patrzę a tu Szymczyk (Grzesiek Szymczyk- dziś aktor Pławnej9) zapierdala w piżamce po korytarzu. Nie miałem z nim wtedy za dużego kontaktu. Gdzieś tam się snuł ze swoimi koleśkami po Jeleniej Górze, nie był z kręgu moich znajomych, malarzy, wariatów i hippisów. Znalizmy się jednak i zrobiliemy szybko akcję – tabletki, które dostawałem wkładałem pod język i w kiblu dawałem je Grześkowi. On był w tym czasie ćpunem i przyjechał się tam odratowywać po jakimś oczywiście milicyjnym nakazie. On to wszystko zjadał co mi dawali, jeszcze swoje, jeszcze od jakiegoś kolegi i trwało to jakieś kilka dni. Później przypaliła nas pielęgniarzka i karteczka była: „kontrolować”... najważniejszą rzeczą w tym szpitalu to było, pamiętam: „Panowie! Po leki!” to tak kurwa non –stop. Najważniejszą sprawą jaka się wtedy wydarzyło to list jaki wysłałem do programu „Szansa”. Napisałem ten list z prośbą, żeby mnie ratowali. Dołączyłem do tego slajdy swoich obrazów. Napisałem też żeby zabrali moją wypłatę z młyna, bo - przed szpitalem, pracowałem w młynie. List zaadresowałem do Zina. Kiedy wyszedłem ze szpitala otrzymałem telegram: „Przyjeżdżaj! Wierzmy, że wyzdrowiejesz, że choroba minie!” Myślałem, że ktoś robi sobie za mnie jaj, bo nie było tam żadnych pieczętek ani nic z poważnie wyglądających rzeczy, tylko adres i telefon. Zadzwoiłem i ktoś tam potwierdził całą tę sytuację. Pojechałem do Warszawy i zostałem tam dwa tygodnie. Wszystkie obrazy sprzedałem, wygrałem „Szansę” i Szymon Kobylński wręczył mi nagrodę – Dyplom Malarza Profesjonalisty, tytuł przyznany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

PODŁOGA SUFIT....

Zawsze mnie ciekawiło jak podłoga może stać się dziecinna czy embrionalna przez onanię. Kiedy plemnik sosnowy, spotyka się z twoim i połączą się w „surrealną” formę. Jakim ojcem byłbym dla tej podłogi i jak musiałbym szurać po niej by okazać jej swoją ojcowską miłość? Ostrożnie sprzątaczką z myciem podłogi, bo możesz wyszorować niejedną istotę, której jestem ojcem. Jeśli „dziecko sosnowe” to byłbym ojcem niezłego lasu... dlatego Pan Bóg wymyślił „błonę dziewiczą”, by jakaś zbłąkana istota, a może nie – istota – nie powiem konar drzewa, ale jakaś gałązka, nie zrobiła sobie dziecka. Gdy zaśniesz nieco mocniej, niż zawsze, niech nie dobieże się do ciebie fasola – po to masz dziewiczą błonę. Głupio by było, gdyby jakaś kobieta została zapyłona przez mysz... Jeżeli podłoga może być rodzajem łona, tak sufit może stać się surrealistyczną platformą, przestrzenią, na którą wzlatają nasze myśli. Myśli ulatniające się z kominów ludzkich mózgów. Sufity w domach ludzi bardziej wrażliwych na sens tego świata są "okopcone" wszelkimi napięciami - najczęściej odkryciami. Często nam się wydaje, że to tylko sprawa kurzu, pajęczyn i brudu. Ale kłębowisko naszych myśli zostawia wyczuwalny smrodek i suchy nalot. Nasze pracownie, nasze małe alchemie mają sufity okopcone od naszych przemyśleń, od wiatru złapanego przez otwarte okno, od wszelkich spotkań, rozmów i cudzych słów rzuconych przez niedomknięte drzwi. Ochroną naszych mózgów są twarde sufity dla zastanawiania się. Mój mózg pracuje jak maszyna, często jest rozgrzany do czerwoności - nie zawsze z wkurwienia, czasem z nie mocy i zdziwień. Jeżeli jest taki rodzaj twórczej pracy mózgu, czaszka staje się sufitem... A gdzie miejsce na żyrandol? Tylko myśli bardzo

wytrawnych obserwatorów są w stanie - poprzez swoją "gęstość" i natężenie, przeniknąć, jak przez durszlak, ten rodzaj ludzkiego sklepienia. Jesteśmy niczym genetycy w swoich laboratoriach. Szperamy w metafizycznej stronie życia. Sufity naszych pracowni stają się naszymi czaszkami. Może sam Pan Bóg jest takim mądrą, że dla niego, stąpającego po ziemi, stratosfera jest rodzajem czaszki dzięki której "mózg" nie jest w stanie przedostać się na "czoło", a chmury tworzą watową fryzurę? Myślę, że niebo może temu służyć. Dla nas ludzi istnieją sufity naszych domów i pracowni, bo na pewno nie parasole. No bo jak spacerować z "czaszką - parasolem" po ulicy? Z sufitów i ścian naszych domów i mieszkań można wycisnąć - jak ze szmaty, mnóstwo niebywałych prawd. W starych domach drzemią, trwają myśli i zdarzenia poprzednich mieszkańców i nas samych. Mieszają się i łączą, tworząc zapach, klimat. Ściany chłoną bicie żony, bicie konia, bicie serca jakim się dławisz. Są świadkami płaczu dziecka i kobiety po stracie męża, uczestniczą w radości świąt...Ściany skrzętnie wsysają czas przyjemności, nasycenia, głodu i głupawego pogwizdywania przy goleniu. Wystarczy, że się oprzesz, a twoje ciepło wymieszają się z zatopionymi duchami domu. Na ścianach wiszą obrazy, najczęściej święte, kryjące łzy, prośby i dziękczynienie, bo rzadziej idziemy do Boga pochwalić się tym co nam się spełniło. Bardzo często zapominamy powiedzieć "dziękuję". Ja nie używam tego słowa, a jeśli już to tylko po to by w łatwy sposób opisać durnym ludziom coś co wyrażam błyskiem oka. Równie rzadko chwalimy się ludziom, którym jeszcze przed chwilą żaliliśmy się. Nie mówimy im o tym, że urodziło nam się dziecko, albo, że wygraliśmy forszę na loterii i spełniły się nasze pragnienia. Najczęściej tacy ludzie znikają z pola naszych dobrych zdarzeń a pojawiają się ponownie gdy jest nam źle. Często sami stajemy się takimi ludźmi i wydaje nam się, że bardzo nabraliśmy się na cudzy smutek, bo nie dostajemy w zamian przyjemności do jakiej oni już doszli. Twoje uwikłanie w ich sprawy powinny być wytrącone spełnieniem, bo przecież nosisz w sobie ich ból i problem... Jeśli nie ma tej wymiany energii, nie ma przyjemności i spełnienia przyjaźni. Mamy do odegrania jakąś rolę i nic więcej się między nami nie dzieje... Ludziom, którzy czują się nieszczęśliwi, sprzedawałbym na nadrealnym targowisku piece z wkładami dobroci i ciepła. Jeśli istnieją piece nuklearne, ładowane za pomocą energii atomowej, tak istnieją "piece" określonych ludzi, ładowane uczuciami i miłością. Człowiek jest bliski skonstruowania takiej "machiny", która będzie szeptać, tulić, kochać, albo sami będziemy wchodzić do środka by się ogrzać, poczuć bliskość drugiej istoty. Nie zawsze jest nam zimno przez brak węgla... Piece do zagrzewania siebie od wewnątrz, rozstawiane nawet w lato, na ulicach - jak "zimowe kosiaki", dla biedaka, który pragnie przytulenia. Choćby na przystanku, kiedy schyla się w poszukiwaniu kiepa, bo na pewno nie w oczekiwaniu na autobus. W autobusach nie mieszczą się bagaże bezdomnych. Żyją na ulicy bez domu a zarazem z domem noszonym gdzieś na garbie, bo żeby się odlać, zjeść coś czy przeczytać znalezione na śmietniku gazetę, trzeba to jakoś umiejscowić... w ich tylko rozumianym domu. Dlatego takie piece mogły by stać na ulicach...

SOLIDARNOŚĆ

Bywało, że po wystawie w Duseldorfie, w '81 roku dostawałem przelewy na konto po 2000 marek. To był trudny dla Polski czas – strajki, stan wojenny... a my szaleliśmy - dwaj zasańcy z zadupia jako wielcy panowie w „stolicy”. Przychodziło mi to łatwiej niż Edkowi, bo cała moja rodzina pochodziła z Warszawy, ale mimo wszystko nasz wygląd zdradzał pochodzenie. Mieszkałiśmy z panienkami w hotelu „Forum” i popijaliśmy „whisky” . Było nam dobrze i finansowo bezpiecznie. Kiedy usłyszeliśmy wybuchy i krzyki

pobiegliśmy za tym czymś co się działo. Z okna hotelu zobaczyliśmy kończącą się 1-szo majową defiladę i kocioł ludzi naparządzających się z milicją. Pierwszo - majowe defilady, które wspominam z przyjemnością, były rodzajem takiego „show”: białe koszule i jakaś akcja. Za gówniarza z gołąbkami i białą chorągiewką, a potem – ze sztandarem... I tak wypadliśmy na ulicę z resztkami alkoholu w głowie. Nikt przecież nie chciał zbawiać świata, chcieliśmy po prostu przeżyć coś więcej, bo nic się nie działo w naszych zadupkach. Dojechaliśmy na Krakowskie Przedmieście i skierowaliśmy się w stronę Zamku Królewskiego. Droga do placu, na którym się napięprzali była zamknięta. Stały kordony naćpanej milicji. Co kilkadziesiąt metrów przechodziły patrole legitymującego każdego kto chciał się przemieścić. Chodziło o wytworzenie atmosfery terroru - nikt nie mógł poruszać się bez dokumentów. Władza musiała wiedzieć o tobie wszystko. Nikt nie miał prawa wychylić się z "szeregu". Edek nie miał dokumentów, bo zostawił je gdzieś w hotelu czy w domu. Zdarzało się to nagminnie... Musieliśmy sobie jakoś radzić. Zaproponowałem Edkowi pewien rodzaj teatru. Kiedy dochodziliśmy do pierwszej barykady, nie czekałem aż milicjant do mnie podejrze tylko sam szedłem do niego, pytając o drogę na jakąkolwiek ulicę. Bałamuciełem go grzecznością przez co dawałem mu do zrozumienia, że jestem bardziej z nimi niż z walczącymi. Przy następnej barykadzie zaczęliśmy dyskutować o nieprawdopodobnie naukowych sprawach. Wypowiadaliśmy się bardzo głośno, mocno przy tym gestykulując. Zatrzymywaliśmy się co kilka metrów, nie zwracając na nich żadnej uwagi. Przechodziliśmy obok nich jak niewidzialni. Tak solidnie rozprawiliśmy się z milicją, że nikt nas nie kontrolował, choć przed nami wszystkim sprawdzano dokumenty. Było to dla mnie nieprawdopodobne doświadczenie. Spowodowaliśmy, że struchleli przed naszą nonszalancją, gestykulacją i metafizycznymi rozważaniami. Zrobiliśmy to nie świadomie, bo w Jeleniej Górze nikt nigdy nie protestował, aż do momentu zarejestrowania "Solidarności". Milicjanci, którzy pilnowali porządku byli najczęściej z małych zadupki. Nie widziałem w nich „wroga” tylko grupkę przerażonych chłopców, dodatkowo otumanionych jakąś "szprycą". Stali kompletnie nie przytomni. Czuli się po prostu wiejskimi ludkami. Wydawało im się prawdopodobnie, że jesteśmy organizatorami tego zdarzenia. Jak mogli legitymować kogoś kto szedł pewnym krokiem i używał naukowego języka, podczas gdy wszyscy dookoła bali się i kulili do środka? I tak nam się udało dojść do Katedry. Zobaczyłem tam coś co potwierdziło mój stosunek do Polski w jakiej żyłem. Pod katedrą, na wysypanej kupie piachu leżały, okulary, buty, sprzączki od pasków... namiastka tego, co znajdowało się w Aushwitz. Byłem przerażony, bo zobaczyłem, że te rzeczy dzieją się naprawdę. Nie miałem do czynienia z chuliganką o jakiej mówiono w telewizji... Wpadliśmy w „rewolucję”, w nieprawdopodobny chaos. Przyszedł taki moment, że trzeba było spieprzać przez wielki, „królewski” płot. Ja zdążyłem uciec, ale Edka leżącego na ulicy przykryła masa ludzi. Widziałem już tylko jego długą brodę wzywającą pomocy... Oczywiście pomyślałem: „radź sobie ja nie mogę cię ratować” bo za chwilę zjawili się bojówkarze i odbywało się wielkie pałowanie. Ludzie dostali niezły wpierdol. Jeśli już jesteś w takiej sytuacji musisz mieć świadomość, że mogą cię zastrzelić. Trzeba umieć korzystać z „giczu” jakie nam Pan Bóg dał. Nie ma miejsca na sentymenty. Jeśli chodzi o ruch „Solidarnościowo – rewolucyjny” w Jeleniej Górze i wielu podobnych rejonach Polski panowała niesamowita nieświadomość... Nic nie wiedziałem o istnieniu nawet „nie- solidarności”, o wypadkach z lat '50-tych, '60-tych i '70-tych w różnych miejscach w Polsce. Byłem tak wychowany, że wszystko co się robiło dla kraju, dla Partii było jak najbardziej na „plus”. Nie widziałem niczego złego w tym, że dostawało się medale, ordery od towarzysza Cioska za zrobienie dobrej wystawy w domu KC PZPR. Kiedy mnie zagadywali „no artysta róbcie, róbcie” byłem bardzo podniecony i bardzo na służbie. Myślałem, że się przyczyniam do naszego lepszego bytu. Nie wiedziałem nic na temat dalszej i głębszej trwogi, o

wyzyskach czy dziwach politycznych. W moi świecie nie istniały nawet ulotki. Czasami zastanawiam się jakie miałem wtedy miejsce? Po jednej stronie – Kuroń, Michnik i ludzie walczący świadomie o lepszą Polskę, tworzący sobie rodzaj pomnika, a po drugiej stronie? Ja stałem po drugiej stronie... czuję się trochę jak „kutas”, bo zawsze szedłem za ludźmi mądrymi, za jakąś logiką tego świata. Mogę jedynie powiedzieć, że nie miałem kompletnie żadnej świadomości politycznej. Liczyły się moje obrazy, moja sztuka, mój świat. Wydawało mi się, że żyję w nędznym kraju. Niemcy, Francja, Anglia, czy USA są wielkie, a my jesteśmy mniejsi. Miałem małą refleksję nad tym czy nie zostać za granicą, bo dzięki nagrodzie zdobytej w programie "Szansa" udało się załatwić wystawę w Düsselldorfie. Pojechałem „na wariata” bez pieniędzy i poczułem trwogę. Wydarzały się jakieś strajki czy demonstracje, ale nie stan wojenny... jak mogłem zostać w Niemczech skoro zawsze interesowała mnie akcja? Wydawało mi się, że dzieje się tak bo mamy taki polski, psi charakter, że jesteśmy „ułańską fantazją”, lawirantami i złodziejaskami. Przecież w Polsce szło się do pracy tylko po to, żeby coś podpierdolić, wykiwać, zamiast ośmiu godzin porobić trzy. Wszyscy tak funkcjonowali – łącznie z moim bratem Adamem. Polacy to jest taki specyficzny naród. Teraz kiedy istnieje inny system, ludzie wyjeżdżają za granicę żeby szybciej zrobić karierę najczęściej finansową. Ale jest grupa ludzi, która dzielnie pracuje i walczy, mając w dupie szybki „strzał” na poprawę bytu. Dla mnie w Polsce było dobrze. Jeśli byłem głodny, mało zarabiałem to tylko z własnej winy, co było moją sprawą a nie rządu, lub jakiegoś systemu. Nie dopuszczałem do siebie żadnych rewolucyjnych myśli. Żyłem w regionie nazywanym "Czerwoną Doliną" - ludzie byli nie czuli na jakiegokolwiek impulsy. Robiłem posłusznie wystawy w filiach BWA, w szkołach i domach partii. Wieszaliśmy najróżniejsze reprodukcje. Ciosek przychodził na wernisaże i wszyscy z szacunkiem do wielkiego człowieka. Później stali Pater i Raksa, wszyscy ci polityczni i dyrektorzy. Byli zawsze ważni, reszta przy nich truchlała. Ale nikt nikomu krzywdy nie robił. Jak miałem walczyć z własnym krajem? Byłem zadziwiony. Jeśli już nawet coś się działo traktowałem wszystko jak "harcerz – rozbójnik" – leciałem tam gdzie "płonęła stodoła", a że ciągle trafiałem na zgłiszcza musiałem podpalić swoją... Dzisiaj nie gonię za jakąkolwiek sensacją, nie interesują mnie wypadki na drogach. Odwracam głowę, bo nie chcę konsumować leżących na drodze ciał, nie potrzeba mi żadnych potworności. Wystarczy mi świadomość jaką mam. Wielu ludzi ma w sobie chęć „wyzerania”, patrzenia na cudze nieszczęście. Stąd też głupawo się dzieje na świecie. Ludzie wytrzeszczają gały na zgwałconą przez debila dziewczynkę, na wypadek obfity w trupy. Połykają to, pielęgnują w sobie i nie mogą sobie z tym poradzić. Wpierdalają tabletki na ból głowy i dupy, chodzą po lekarzach i zastanawiają się dlaczego na świecie jest źle ... nie, to jakaś paranoja. Kiedyś byłem podobny – biegłem pierwszy do wszelkich awantur. Pewne doświadczenia odczyły mnie tego.

Mój ojciec w jakimś sensie był „gnidą polityczną”, bo wszystkie dziury w domu, w alkierzyku były zabijane sztywnymi, preszpanowymi dyplomami, które ojciec dostawał „od zawsze” na różne rocznice Celwiskozy itd. Stał nawet przed portretem Stalina, który spłonął zaraz po zrobieniu fotografii do gazety. Jakiś dziwny znak? W każdym razie byliśmy wychowani w atmosferze gdzie nagrodą była pochwała Partii. Wielu ludzi będąc konfidentami, albo „psami SB-ckimi” wypełniało swój zaszczytny obowiązek. Nie byłem wyjątkiem w tych okolicznościach. Kiedy szedłem do kościoła z rodzicami i zobaczyłem łepetynę koleżki kradnącego wina ze świetlicy, zamiast na msze pobiegłem na milicję. To był absurd, bo przecież sam kradłem, ale czułem jakiś popieprzony obowiązek. Ten facet poszedł siedzieć na dwa lata za jakieś jeszcze inne duperele. Groził mi nawet jak go kiedyś spotkałem... dużo ludzi było "zapraszanych do współpracy".

Zostawali donosicielami a najczęściej "Ormowcami" jak Rosiak, który zawsze nas ścigał po Sobieszowie. Tylko człowiek wsadził łapę do cudzej piwnicy czy pasmanterii, od razu zjawiał się Rosiak. Zajmował się tym z nudów, z braku pracy. Był na emeryturze i chciał przysłużyć się światu, więc został "mendą" od ścigania biednych, wygłodniałych chłopców. Wystarczyło, że ktoś krzyknął: "Rosiak!" i wszyscy spieprzali z komórek i kubłów - jak koty po rynnach. Byłem wychowany w duchu harcerza. Śpiewałem hymny i przysięgi ku chwale Partii, co było naturalne i wcale nie dziwiło. Wiadomo, że nawiedzonych idiotów, którzy tym sterowali, pasjonatów SB –cji należy rozstrzelać, ale nie zwykłych ludzi. Ten kraj był wychowany w takim klimacie i świadomości. Nie było żadnej pieprzonej walki i zrozumienia ucisku – było „źle” bo było „źle”. Ludzie często udają, że wszyscy byli w porządku. Ale nawet w świecie artystycznym nie było czegoś takiego. Trybalski trwał w wielkiej komitywie z wszystkimi partyjnymi i nie widział w tym nic złego, jak zresztą wielu ludzi . Oczywiście była jakaś grupa, która zaczęła tworzyć podziemie, ale tak naprawdę nikt nie miał świadomości tego co dzieje się poza obszarem własnego tyłka. Kiedy „Solidarność” wystawiła głowę część ludzi szybko wzięła się za ilustrowanie gazetek opozycjonistom... Ja nie wpieprzałem się ani w jednych ani w drugich, bo nie interesował mnie ten rodzaj świata. Raz skorzystałem z dobrodziejstw partii, kiedy DD-erowcy zakosili mi walizkę i wojskową torbę na przejściu w Gorlitz. Wracałem wtedy z Francji i nigdzie nie miałem problemów z kontrolą graniczną, tylko na polskiej granicy. Ktoś mi wtedy podpowiedział, żebym poszedł do partii, bo dyrekcja kolejowa potraktowała mnie jak podrzędnego „kutaska”. Poszedłem do KC PZPR i od razu nawinałem, że zginęła mi torba z całą dokumentacją artystyczną i, że dokonał się napad na dobrze zapowiadającego się artystę. Nie mogłem przecież powiedzieć, że zginęły mi ażurowe gacie z sex shopu zakupione dla żony na noc pełną amerykańskich przestrzeni... Po rozmowie w gabinecie partii nastąpiła natychmiastowa interwencja – „Towarzyszu! Proszę tu tego” i poskutkowało. Kiedy przyszedłem na dworzec do dyrekcji obchodzono się ze mną jak z jajczkiem. Odzyskałem jedną torbę, a za drugą dostałem wysokie odszkodowanie. Interweniowała nawet telewizja. Podobał i się ten rodzaj systemu – „władców” i „towarzyszy”, którzy truchleli przed wielkimi figurami takimi jak Ciosek. Błąkałem się za jego kadencji, ale szybko spieprzył do Warszawy, a potem do Rosji. Swoje nastawienie do spraw komuny zmieniłem podczas pobytu w Szczecinie. Zawoziłem obrazy na wystawę do Zamku Książąt Pomorskich i byłem wysłannikiem biura wystaw artystycznych. Na wybrzeżu o wszystkim wiadano, przyplływały statki, był kontakt z zachodem, handlowano dolarami i zagranicznymi ciuchami. Jak miałem skonfrontować to czy jest mi źle, skoro w Sobieszowie mówiono, że "zachód" jest do dupy. Dochodziły do nas jakieś majtki, jakieś spożywcze rzeczy – kolorowe i ładne ale człowiek nie wiedział o co chodzi dopóki sam nie wyjechał za granicę. Po wyjściu z pociągu poczułem dziwny zapach. Na dworcu panowało nienaturalne ożywienie. Dopiero tam zacząłem uświadamiać sobie co dzieje się w świecie "Polska". Dowiedziałem się od taksówkarza, że w mieście się naporzają. Wszystko zostało uprzątnięte, tylko w powietrzu unosiła się dziwna woń. Trafiłem jak zwykle na zgliszcza. Żałowałem, że już po akcji – mówię oczywiście o ekspresyjności sytuacji. Zawiozłem obrazy do Zamku Książąt Pomorskich i poszedłem do kina, bo miałem jeszcze trochę czasu do powrotnego pociągu. Już podczas projekcji słyszałem jakieś krzyki i „stuk”. Wyszedłem z sali po swoje rzeczy. W holu zaczęli mnie ostrzegać, żebym nie wychodził, bo na ulicy są rozruchy... jakie nie wychodził? Przecież na to tylko czekałem! Kiedy wyszedłem na zewnątrz nastąpiła bardzo ciekawa historia: stałem na pustej drodze, po prawej stronie cały szwadron milicji, a po lewej - walcząca „Solidarność”. I bądź tu mądry „mały bolszewiku” z Sobieszowa, gdzie masz pójść? Dopadła mnie prawdziwość określenia się, bo na coś musiałem się zdecydować. Miałem świadomość artystyczną, ale nie polityczną. Byłem „frywolnym

ptakiem”, ale duch harcerza – wojownika, który się nagle obudził, nakazał mi iść tam gdzie było coś do bicia i psucia. Rzucić jakąś butelkę z benzyną, zaatakować czołgi i dobrze określonego nieprzyjaciela. Założyłem chustę na twarz, bo gaz potwornie dusił i poleciałem do „Solidarności”. Nie walczyłem z poczucia patriotyzmu. Stałem na tyłach i obserwowałem co się wydarzy... aż tu nagle zajechało mnóstwo milicyjnych suk. I chcąc nie chcąc stałem się „czołem rewolucji”. Ktoś złapał mnie pod boki i zaczęliśmy „paradować” w stronę kolumny. Nie mogłem nawet czmychnąć. Co prawda nie miałem takich myśli, ale czułem niebezpieczeństwo. Zobaczyłem przed sobą prawdziwy szturm zapierdalający z karabinami, pałami i tarczami...i wszystko szło na mnie! Niby „razem”, ale co razem? Ja nie chciałem być pierwszy. Wszystko działo się na zasadzie przygody a nie jakiejś ideologicznej historii. Rzuciłem jakimś ludziom na balkon swoją pewexowską torbę i poszedłem w bój. Tak jak wielu tamtych ludzi – w dupie byłem i głównie widziałem. Chcieliśmy się wyszaleć. Nie rzucaliśmy kamieniami w milicję, ale w swoje wkurwienie jakie się nosi w młodym wieku. Darliśmy się na rodziców, na siebie, na szkołę i na wszystkie możliwe sprawy, które nie wychodzą. Nakręcaliśmy się jedną wielką awanturą - my z patriotycznym uzasadnieniem, a milicjanci z naćpanym mózgiem. Większość jednak nie wiedziała o co chodzi. Byliśmy zwykłą masą użytą przez ludzi, którzy tym wszystkim sterowali. I w tym wszystkim ja – naprawdę przypadkowy z jakąś butelką w ręce, która przerażała bardziej niż milicja. Rzuciłem bo wtedy więcej miałem z diabła niż z anioła...nigdzie to jednak sensownie nie poleciało. Zawsze byłem „przypadkowym rewolucjonistą”, który nawet kamieniem nie dorzucił... Zapieprzałem drobnymi krokami, równo z tłumem. Nie można było wyciągnąć nóg ani do przodu ani do tyłu – podnosiło się tylko kolana. Biegliśmy jak bydło. Przypomniało mi się jak uciekaliśmy w lesie z Januszkim przed strzałami milicji. Na pewno strzelali w powietrze, ale my zapieprzaliśmy w dół tak szybko, że człowiek nie czuł swoich nóg tylko napór ciała. Ważne było biec na przód i odgarniać rękoma brzoźki, by się nie zaplątać. W Szczecinie było podobnie, człowiek dreptał w miejscu tak, by nie stratował go tłum a później naćpany oddział milicji. W końcu zostaliśmy spędzeni w wąską uliczkę i wpadliśmy w podwórko otoczone blokami. Tam szybko na klatkę i do góry. Waliłem we wszelkie możliwe drzwi, ale nikt nie chciał otworzyć...biegłem coraz wyżej. Przez okno w korytarzu widziałem jak milicja spałowała jakiegoś zbłąkanego chłopaka, który nie zdążył ukryć się pod murem. Skopali go w tym szale, jak świnie. Po chwili wstrzelono na klatkę gaz łzawiący. I w tym momencie otworzyły się drzwi. W środku mieszkania zobaczyłem jeszcze dwadzieścia osób... między nami chodziła kobieta i zmieniała okłady na twarzach. Wszystko piekło i szczypało od gazu. Znowu wszyscy byli razem, wszyscy ze sobą rozmawiali, jak na wyjazdach za granicę... Polacy się integrują w dziwnych sytuacjach. To naprawdę dziwny naród. W czasie pokoju ludzie są niezadowoleni i kłótlivi, ale w momencie walki wszyscy się kochają i czują braterską więź. Doświadczyłem tego wiele razy. W tym mieszkaniu oglądaliśmy wiadomości. Podano informację, że w Szczecinie garstka chuliganów wszczęła zamieszki. Patrzyłem przez okno i widziałem tą "garstkę". Tam było tysiące ludzi. Przeżyłem swoje pierwsze pasowanie na młodego rewolucjonistę, złapałem świadomość tego co się dzieje. Dla mnie trudno wyobrazić sobie położenie skazanych na bycie mięsem armatnim. Nie pojmuję siły jaka kieruje człowiekiem by na czyjś głupi rozkaz iść na śmierć. Nie chciałbym zupełnie przypadkowo wylądować z kulą w plecach, na „drzwiach” jako uznany rewolucjonista... w Szczecinie doszło do takich sytuacji, że w pewnym momencie ludzie ścisnęli grupkę wojskowych. Chodzili szwadronami - kilku żołnierzy i oficer. Milicja szalała a oni wszystko kontrolowali. Mieli prawdopodobnie ostrą amunicję. Pamiętam ciągly napór ludzi, ryczenie i wymachiwanie rękoma. Żołnierze byli zniewoleni a oficer próbował coś tłumaczyć. W końcu jedna z tych łap strąciła czapkę oficera. Padło hasło, przełożono magazynki i wtedy poczułem

śmierć. Ludzie także musieli ją poczuć bo spieprzyli na boki. To już była jazda bez trzymanki. Sprawy zaczęły się przerysowywać i wypadać spod kontroli. Żołnierze musieli się bronić, by zachować swój rodzaj godności wojskowej. Te sytuacje nauczyły mnie dużo, ale nie były mi tak bardzo potrzebne. Nie musiałem wracać do domu i zapieprzać ze sztandarem czy brać butelkę z benzyną i atakować. Byłem zwykłym ogrodowym ludkiem, który coś tam sobie malował. Bardziej interesowały mnie przyjemności tego życia niż jego utrata. Ludzie wiedzą, że wojna to w najlepszym wypadku wpierdol...

SRANIE

Bardzo irytuje mnie wysiadywanie na kopcącym wulkanie w kiblu, może to niezdrowe, a może mam dupę na suwak? Tak czy siak załatwiam sprawę błyskawicznie. Czasami sranie nie może być z takim rozmachem, do jakiego człowiek jest przyzwyczajony... najgorsze kiedy połkniesz ulubiony ząb i musisz iść na wernisaż...cztery razy mi się to zdarzyło. Zawsze wtedy kiedy jem jakieś lepiałe gówno na przykład ser topiony. Taki serek chyba zapomniał, że Daruś ma wieczorem przemówienie do narodu i bardzo nie lubi pustego miejsca w protezie... a zwłaszcza jej tnącej krawędzi. I kiedy w towarzystwie zajadając sobie po pańsku, poczuję, że go straciłem wydaję z siebie okrzyk wkurwienia by następnie zwalić to na przeciążony kręgosłup. Nie ma czasu i ani potrzeby tłumaczyć takie proste sprawy. Jeśli połkniesz porcelanowego uciekiniera, wtedy na żadnej stacji benzynowej, czy publicznej toalecie nie dasz rady go odzyskać. Pamiętam jak z Vahanem w Zamościu, w hotelu przed wernisażem, musiałem grzebać patykiem w brodziku, między kukurydzą a innym syfem. Jaką człowiek czuje radość, gdy w momencie zwątpienia wymaca twardy, ceramiczny okruch...szuru buru wciskam go na miejsce i biegnę na zdobywanie świata. Nie wszystkim zdradzałem tą okoliczność, bo niektórzy brzydzą się – ja chyba też, ale misja to nie była jaka. Nieszczęsny ząb wypada zawsze w nieoczekiwanych momentach. Stałem kiedyś na placu w rzeźbiarskich wiórach, kichnąłem i nawet nie zdążyłem podnieść głowy do pionu, gdy poczułem ubytek w gębie...spojrzałem tylko na miliony drewnianych zębów. Wystarczył jeden ruch ręką i podniosłem go! To był jakiś pieprzony cud. Ludzi, którzy mają wszystkie kości na miejscu i nie korzystają z protez, omija bardzo dużo zachwyków. Cóż, że sztuczna szczena, może kiedyś poczujesz jak uwielbiasz protezę, kiedy na przykład pęknie ci trzy godziny przed wyżerką na bankiecie w Bawarii. Trudno w takich okolicznościach jeść dwoma zaszranymi kawałkami... Przeszukałem w garażu Gregora wszystkie możliwe kleje w poszukiwaniu szybkoschnącego. Do dziś pamiętam dwuskładnikowe toksyczne „spoiwo”. I kiedy tak z przerażeniem i wkurwiozą sklejałem szczękę, Edziu do mnie – jak do doktora z rączkami podziarganymi więziennym atramentem... przed naszym poznaniem się miał bujne życie i wylądował w pierdlu... trochę mu tego zazdroścuję ale jeszcze do tego wróć. Musiałem dobrać odpowiedni kolor do jego ciała a że znalazłem go najlepiej, nie było to dla mnie większym problemem. Pojechałem po łańskich napisach „kremikiem” z tubki. Tatuaż był nie tylko problemem przy okazji bankietu, ale także w czasie upałów. Edziu - opatulony, musiał zakrywać swoją przeszłość, a ja paradowałem sobie w austrijskich Alpach z odkrytą kłateczką, w krótkim rękawku. Mimo wszystko powędrowałem na bankiet z Edziem i Gregorem - naszym szefem... jaki to był ból i łzy w oczach na widok wytwornych mięsek, medalionów z cielęcinki, pikanterii smakołyków dla oka i podniebienia... głupkowato po niemiecku kiwałem pustą łepetyną, że jestem najedzony. Czy ktoś by uwierzył tak skrzywionej, polskiej mordzie? Wymachiwałem odkrytymi rękoma, ocierając się o wszystkie stare damy, a Edziu ostrożnie, bo na takim bankiecie trudno byłoby wytłumaczyć łamaną niemczyzną, że kryminał i większość idiotyzmów wydarzyła się dla jaj i dla

lepszego poznania świata. Kiedy obwieszona złotem koścista dama gasiła ledwo zaczętego papierosa, szlag mnie trafił do tego stopnia, że przy wszystkich odpaliłem tego kiepa. Baba w krzyk jakbym jej odebrał cnotę... musiałem zrobić porządny teatr, bo goście brali wszystko na poważnie. Na szczęście Niemcom nie trzeba dużo by ich zachwycić. Kiedy byłem na wystawie w Albstadt, koło Suttgardu powędrowaliśmy z właścicielem Berndem Zimmermannem do jego znajomych. Mieszkali w przepięknym zamczysku. Kiedy znudzeni wypijaliśmy kolejne likiery, przyszedł czas na podziękowanie za gościnę – tym bardziej, że kupili ode mnie obrazy, za co w tamtych czasach gotów byłem wejść w dupę... wydarłem się na cały zamek, śpiewając zmyśloną pieśń i złapałem za szablę. Jednym ruchem ręki odkryłem goły brzuch, pozbawiając koszulę wszystkich guzików i rycząc basem zacząłem wymachiwać w prawo i w lewo.. wyzwoliłem niemieckiego ducha. Ich dom ożył dla nich po raz pierwszy. Na drugi dzień, pani domu przyniosła mi w małej foliowej tutce guziki i sto marek. Uradowana potrząsała torebeczką : „das is deine Knopfel”. Wyobraziłem sobie tę hrabinę, jak czołga się po podłodze z przyszytym do tyłka herbem. Może to taki mały rewanż, bo u prawie Każdego starego Niemca za półkami biblioteczek stoi portret w mundurze, z żelaznym krzyżem...niech ich szlag. Na starość ludzie dziecinnieją i zbliżają się do Boga. Chcą zapomnieć o brudach w jakie się uwikłali... W latach osiemdziesiątych, kiedy człowiek balował co wieczór na dancinгах w towarzystwie księgowych, któregoś razu, w Zgorzelcu zachlałem się jakąś podróbą. Był to tak fatalny alkohol, że musiałem biec do parku trzymając w pysku już wyżygane gównno. Kiedy oczyściłem organizm a właściwie żołądek z sfermentowanej sałatki i śmierdzących jajeczek, wyprostowałem się, otrzepałem łachmany i wróciłem na zabawę. Niestety już w korytarzu poczułem, że nie mam swojej ulubionej szczęki. Prerażony wróciłem w to samo miejsce – po ciemku... W krzakach zawsze ktoś się zesra, zżyga... Dobrze, że w Polsce wzrasta poziom kultury na tyle i zwyczaj ten zanika, choć toalet miejskich nadal nie ma. Sprawę ratują knajpy. Gorzej jeśli jesteś splukany i odlewasz się za drzwiami... I kiedy tak wróciłem do parku znalazłem świeże lecz już nieco chłodne żygi, wymacałem ząbeczki by je w swoim szczęściu przeprosić i zawrzeć ponownie komitywę. Tylko jak? Odląć się na nie, wytrzeć w rękaw czy umyć śliną? Teraz to już nieważne bo szczękę mam na zatrzaski... I tak dla jaj wciągam ludzkość w soje intymne sprawy... Kiedy z naszego życia możemy sobie robić jaja – róbmy to, bo pojutrze umrzemy nie korzystając z nadarzających się okazji. Nie potrafię zrozumieć aktorów, którzy wzdrygają się na myśl o programach typu „Big brother” . Nie jest to może i mądre, ale po co zaraz zarzekać się, że nikt z tych ludzi nie dałby się zamknąć nawet za milion dolarów? Niby co ja takiego skrzętnie chowam przed światem? To sprawa gry i zabawy – a nie naszego pseudo mądrego życia. Za chwilę będziemy mającą historią i nikt za chuja nie będzie pamiętał o co tobie chodziło. Przecież wielu z tych aktorów ugania się za chałturą na zadupiach narzekając na brak pieniędzy. Więc w imię jakiego honoru pozwalasz sobie na to by śmignął ci sprzed nosa „milionik”? inną sprawą jest to, że nie wszystkim proponuje się współpracę z tego typu programami. Bardzo truchleję nad Powagą Zapasiewiczza, Holubka, Niemena i kilku jeszcze znakomitych ludzi. Ale aktor kabareciarz, felietonista, zgrywus miałby dupy nie dać dla „szmalcu”? Czekam aż z ust jakiejś sławy kabaretowej popłynie wreszcie strumień dowcipu, bo kiedy schodzą ze sceny tacy komicy, przychodzą mi do głowy takie myśli by spieniężyć swoje doświadczenie. Krótki „strzał”, strzał do którego sami się przygotowujemy, by pokazać co za ten „milion złotych” można zrobić. Nie mówię jak Matka Teresa. Nie nakarmię wszystkich głodnych, ale może wybuduję trochę większy od Kutów teatrzyk. Chodzi o to, żeby nie jeździć po knajpach i festynach by naprawdę robić z siebie idiotę. Nie można pozwolić sobie zginąć pomiędzy grosikami. Sam byłem takim „latającym holendrem”. Sypałem srebrzystym deszczem na idiotów, by zrolować swoją pajdkę, wrócić do

domu i zrealizować swoje marzenia. Nie chodzi mi o wspinanie się „po trupach”. Namawiam do bycia mądrzejszym od całej reszty napalonej na widok gołej dupy. Inna sprawa, że nie mogę być takim głupio – obserwującym, choćby w telewizji leciała transmisja z życia codziennego Największych... nie chcę tracić szacunku jaki zbudowali sobie w mojej pamięci. W Polsce jest niewielu ludzi, którzy robią na scenie show. Nikt do tej pory – poza małymi wyjątkami, nie wpadł na to by wjechać na scenę harleyem. W Polsce nie było takiego zjawiska jak na zachodzie, w latach '80-tych, gdzie mnóstwo zespołów uprawiało na scenie wielkie show z cekinami, pochodniami, konstrukcjami scenicznymi i innymi duperelami, przy których widz dostawał oczopląsu. Zgadzam się, że ten pseudo teatr nie ma wysokich lotów ale co z tysiącami widzów, którzy płacą za to by móc zobaczyć taki pokaz? Możemy przeczytać gotowy sondaż ilu ludzi przychodzi na takie show i dlaczego, jaki jest status społeczny odbiorców, czym się interesują, gdzie pracują itd. Więc jak wyedukować widzów, skoro na pokaz konkretnego artysty, nie latającego w błyszczącym płaszczu za czterdzieści tysięcy, przychodzi mała grupa zainteresowanych? Bo co niby z moją matulką, jej koleżankami, księgową Lusią czy sprzątaczką Anią? Co im chcemy dać w zamian? Już ścigaliśmy na siłę do teatru przypadkowych ludzi i nic to nie dało. Zawsze będzie podział na odnajdujących się w „trelach morelach” sensu świata i rechoczących się z kiczowatej sztuki. Po co zaraz robić z tego szum, z którego i tak skorzystał łamiący reguły artysta. Jeżeli nie potrafimy edukować, wygrywać na pozytywce z puszki po piwie Szopena, czy Mendelсона, to się odjebmy i nie twórzmy sobie portretów w szerokich ramach.

PTASZNIK

...gdyby człowiek był dla ptaków domem – budką, ale taką gdzie ptak nie poznawał by obecności człowieka. Ciało ludzkie związane z architekturą karmnika. Ptasi dom jako rodzaj związku, trwania w przyjaźni. Żeby spowodować przyjaciół trzeba być dobrym albo „domowym” – móc się czymś podzielić. Mieć dom. Człowiek, który wybrał świat ptaków i chce z nimi mieszkać, ludzie, którzy noszą na sobie wysokie karmniki – na sto, a nawet na tysiąc ptaków... Monumentalne konstrukcje wspierane nawet kółkami od rowerów zakupionymi na złomie. Tacy ludzie są wyalienowani, nie rozmawiają już ze światem, sami się z niego wytrącili, bo na przykład zawiedli się na człowieku, albo za dużo dla nich pozy, gmerania, za dużo pretensji... Ptasznicy z wielkimi karmnikami: „Nie jesteśmy dla ludzi. Zrezygnowaliśmy z ludzi. Jesteśmy tylko dla ptaków, bo tylko ptak może zrozumieć nasze piórko myśli”. Piórkowość jest dla nich rodzajem ściszonego języka, sposobu rozmowy i dotyku. Ptasznicy mogą porozumiewać się tylko przez piórkowe dotyki – na przykład: jedzenie bez mlaskania, bez knurowatego korytowania... Oni są szeptem. Tylko w taki sposób mogą reagować...moja żona, która wie, że nie może wypierdolić mnie z domu, musi tolerować co wieczór moje żarcie ryżu. Wie o tym już cała wioska, wie burmistrz. Ale prezydent Stanów Zjednoczonych nie wie, że co dziennie rano budzę się z ryżem przyklejonym do dupy. Ryż strasznie chrupie... a ptaki nie chrupią. Budka może być także jak ciało. Ptasznik przyjmuje w głąb siebie ptaki, czy jakby one docierają do jego wnętrza. Tacy ludzie są wkomponowani w piramidalną budkę, w której mogą mieć miejsce tylko na oczy. Ich czubatość jest jakby do „cokolwiek – spadania” z góry. Cokolwiek spada z góry jest niczym obwarzanek na palcu. Przez swoją formę są bardziej bezpieczni. Nie mogły być to inne formy na przykład prostopadłościany. Idąc przecinają rodzaj drogi- tak jak kuter przecina lód, ich gotyckość, ich strzelistość dziobie przestrzenie nieba. Są bardzo ilustracyjni, bo mają budkę jak rodzaj płaszczu. W niczym im to nie przeszkadza, bo to bardziej na przyjemność niż na

cierpienie. Ptasznicy jak misjonarze. Poruszają się chwiejnym krokiem. Nie widzę sposobu ich porozumiewania się przez dłoń. Rozmawiają ze sobą rodzajami ptaków. To może być interesujące kiedy masz takie wróble – myszy, które mógłbyś lekceważąco zepchnąć z parapetu, prowadząc z Cezarem mądrą dyskusję o ochronie zwierząt. Na własną kwaterę przyjmujemy najczęściej ptaki ze złamanym skrzydłem, albo ptasich kombatantów. W każdym razie nie występują w pięknych klatkach. I tak kurwa jakoś smutno, że zimorodek nie zachwyca choć jest piękny i delikatny. Jest rodzaj pięknych zwierząt, z którymi aż chce się przechadzać „na złotym łańcuszku” w niedzielę po parku. Zachwyca mnie nie tylko skrzydło z niepojętymi barwami. Ja na przykład jestem ładny bo brzydki. Dochodzę do ładności nie przez polerowanie rękawem swojej sztucznej szczęki, wyszminekowane usta czy lekko pomalowane oko. Ładność można mierzyć sposobem bycia dochodzeniem, rozprawianiem się ze smutnymi sprawami tego świata. Proponuję takim ściszyom, którzy złapali swój sens i nie potrzebują podierać się knurowatym kwikiem, by chodzili z Karmnikami - Ptasznikami na sobie.

PLENERY

Zaczęliśmy organizować plenery artystyczne, które z roku na rok przyciągają coraz więcej ludzi. Nie tylko artystów. Tak to trwa już od 1995 roku. Jest to potrzeba czynienia czegośkolwiek na płaszczyźnie sztuki. Każdemu przecież zależy na tym, by być otoczonym ciekawymi, mądrymi, zdolnymi ludźmi, żeby działało się „coś” na przykład w Pławnej, jakieś happeningi, jakieś koncerty. Żeby powstały piece węgierskie i instalacje. To jest dla mnie cała przyjemność – jako twórcy. Traktuję to jak aerobik w swoim malowaniu. Zimą maluję obrazy, a na wiosnę – różne teatry. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, zostawiają tyle samo energii co zabierają, a może nawet i więcej, bo przywożą ze sobą to, co najważniejsze - wspaniałe otwarte serca. Dzięki temu dzieją się rzeczy niezwykle. Czy ktoś widział kiedyś koncert, na którym obok gościa z głosem i gitarą inny rąbie drzewo i rzeźbi? A to się wydarzyło na jednym z plenerów. Wydaje co roku ok. 10 tysięcy i nie mam sponsorów. W tej chwili plener jest tak wpisany w Pławną, że nie ma lata bez tego wydarzenia. Dwa tygodnie intensywnych działań artystycznych, spotkań, rozmów. Czemu to robię? Mam z tego dużo spraw, za które zapłacić by trzeba było dużo, dużo więcej... co się tu dzieje choćby w tym roku! Tyle energii, wrzawy, zespoły, tańce. Sojka śpiewał, Koń Polski jaja robił. I podczas jednej z takich imprez odszedłem na bok. Zacząłem się temu wszystkiemu przyglądać. I mówię: „Ja pierdolę! Jestem czarodziejem!”, to była pochodnia serdeczności, otwierania się! Wszyscy powypieprzali swoje sztuczne gówna. Nic nie mieli! Na golasa! Z gołymi dupami! To nie była wulgarna nagość. W ogóle nikogo nie ciekawiła. Pan Bóg nas takich stworzył. Tu nie chodzi o to, żeby człowiek się rozbierał. Chodzi o taki rodzaj życia, bycia i tworzenia. Wszyscy byli jak prehistoryczne pra-ptaki. Był na plenerze zaprzyjaźniony psychoterapeuta i mówi: „Darek! Co się dzieje! Moich pacjentów tu przywieź!” To są takie sytuacje, że normalnie nikt się nad ty nie zastanawia tak socjologicznie, ale te plenery to jest fenomenalna sprawa dla sfrustrowanych ludzi, którzy nie mają nic wspólnego ze sztuką. Niech sobie będą przy plenerze, przy takich sytuacjach. Mało tego, ja się zastanawiam poważnie w jaką to butelkę zakorkować i opieprzyć jako wielką wartość, jako wielkie pieniądze... Dobrałem się do takich frustratów całkiem niechętno, nie miałem zamiaru, że by bawić się w psychoterapeutę. Wziąłem na plener Norweżkę, którą mąż rzucił. Uczy się polskiego i ma bardzo zdolnego synka, który tu z wszystkimi ludźmi sobie manipuluje, rzeźbi, maluje. Ona jest zagubiona, ale odnajduje się tu i jest jej dobrze. Ten klimat to nie jest sprawa picia, czy takich sytuacji. Oczywiście są jakieś małe prowokacje w postaci piwka czy winka,

ale ludzie upijają się tu entuzjazmem. Miałem kilku takich, którzy: „Darek jak ja ci dziękuję. Jak ja tu tego...” swoim takim paralitycznym polskim. Chcą przyjeżdżać. Więc skoro chcą niech przyjeżdżają, jest hotel, jest miejsce do spania. Niech zapłacą za to, bo nie są artystami, którzy zostawią po sobie jakieś dzieło. Są bardzo ważnymi kuracjuszami i niech z nami będą. Niech będzie taka grupa ludzi na plenerze, która jest sfrustrowana, zagubiona, ale która buli większe pieniądze. To tak samo, jak idziesz do wiejskiego baru i płacisz za kawę 2 złote, czy 1.50, a w „Mariotcie” zapłacisz dziesięć razy więcej. Ocierasz się o tego, o tamtego, widzisz różne sytuacje. I to jest taki rodzaj kuracji, którą wybierasz, której chcesz. Mamy takiego faceta z Warszawy, Webera, po jakimś alkoholizmie. Robi sobie zdjęcia i prawie nigdzie go nie widać. Zawsze z boczką. Jak zaczął podrygiwać, wywijać, fikołki robić, skakać. Patrzę i mówię sam do siebie: „Nie, to niemożliwe”. Podobnie było z Meksykaninem. Taki facet z dumą, spokojem lekko lekceważącym jakieś wygłupy. Jakaś dziewczyna porwała go do tańca i „pach”... to nie była sprawa tylko tańca, ale jakiegoś wyzwolenia się z więzów krępujących ruchy. Ludzie dostali naprawdę takiej euforii, z jaką sam się rzadko spotykam. Trzeba się temu, kurczę, przyrzeć poważnej. Jestem w tym wszystkim mądrzejszy od innych, że nie tylko się tym zachwycę – fajnie było, powtórzmy to jeszcze raz – gównu! Po prostu zapakujmy to i normalnie opierdolmy, bo to jest ważna rzecz. Nie ma takich kurortów dla milionerów. Mamy z Warszawy nadętych kolesi, którym przeszkadza garnitur za 2 tysiące dolarów. Ale są uwikłani w te zegarki, w te buty, w to wszystko. Też mam takie zabawki, takie przyrządy, bo jak idę do buraków na ich święto to nie chcę, żeby sobie myśleli, że artysta to dziad w dzierganym sweterku. Jest to też rodzaj marketingu: „jak cię widzą tak cię piszą”, no niestety tak jest. Wydałem trzy tysiąki na garnitur, trzy stówki na krawat i siedziałem sobie przy stole z politykami. To bardziej dla jaj, tyle, że ja mam świadomość tego, a oni nie. Tacy kolesie, kiedy tu przyjeżdżają, to najpierw kogoś udają, stroją jakieś pozy, próbują załatwić swoje biznesy... w dupę sobie wsadźcie swoje biznesy! Po pewnym czasie dzieje się z nimi coś dziwnego i to jest niesamowite! „Hala bala” jakieś tańce i inny rodzaj bycia ze sobą. Uwielbiam to obserwować. Możliwość takich obserwacji - tego nie kupi się za żadne pieniądze świata. Jest to też niezły marketing, że jeden drugiemu powie gdzie to on nie był i czego nie wyrabiał... Przyjeżdżają coraz mądrzejsi ludzie. Profesor Krauze przyjechał ze swoją żoną: „Darku tu jest nieprawdopodobnie! Tu jest niebywale! Tyle lat żyję, ale nie byłem w takim kurczę pięknym skupisku”. Stasiu Sojka co jakiś czas dzwoni: „Darek, jak my tęsknimy za wami! Po prostu spotkałem tu tylu ludzi, takie silne osobowości!”. Był naprawdę zachwycony. A ja jestem podwójnie zachwycony bo nie sądziłem, że tacy piękni ludzie będą mnie odwiedzać. Siedzieliśmy z Sojką w barze w Pławnej, chłopcy się cieszyli: „Jezu! Stasiu Sojka!” – „Może płytę?” rozdawał płyty, autografy, ale bez jakiegoś gwiazdorstwa. A chłopcy cieszyli się „Jezu!” i gadali przez dwa tygodnie. Później przyjechał do nas Piotruś Bukartyk z dziewczyną. I znowu siedzieliśmy w barze w Pławnej. Piotrek wziął gitarę, cos tam dla nas zagrał. To wielki majster i świetny tekściarz. W „Trójce” miał swoją „Małgochę”. I taka sytuacja: jakiś cham się do nas dosiadł i do Piotrka: „Pan tu jest grajek?”, a ja mówię, że to znakomity grajek itd., na co ten: „Wiesz pan, kto tu był? Stasiu Sojka!”... no nie mogę! Piękne, piękne to jest...tu są takie właśnie sytuacje. Są fajne środowiska artystyczne, a są też ludzie, których się zna a ich nie ma. Wydaje mi się, że to jest sprawa jakiegoś dziwnego charakteru. Nie mogę tak rozmawiać by czuć, że nie mogę się pomylić, mało tego – ja muszę się pomylić! Nie mogę kontrolować tego co mówię, bo to dzieje się tu i teraz! Ktoś mnie musi naprowadzić przez oczy, przez kącik ust. Sam się naprowadzę, sam się otworzę, ale nie mogę tak: „aaa ale fajnie! No jest super!!!” I „pstryk”- nic więcej, „no to cześć” – no to cześć. Gównu z tego wychodzi. Może tak ma być, że się nie odzywamy? Jacy jesteśmy, tacy jesteśmy. Ale aż czasem wstyd mi, że nic

razem jakoś... Nad każdą przyjaźnią trzeba panować. Dbać o to, by zadzwonić, zagadać, pocieszyć. Jest to duża przyjemność. Nie można tego zamienić na anonimowe przechodzenie życia w bloku. Ludzie są naszym zwierciadłem, często siebie widzimy w kimś innym i tylko taki rodzaj konfrontacji sprawia, że możemy się naprawdę poznać. Oczywiście jeśli nie skupiamy się na sobie za bardzo.

WARKOCZ JAKO SPLOT ZDARZEŃ - ZAKOŃCZENIE

Noszę w sobie ziarna. Mam 47 lat i czuję, że dojrzałem. Nie przeszkadzają mi jakieś egzystencjalne rzeczy, jakieś pretensjonalne międzyludzkie sytuacje. Jestem na to odporny i przez to jestem tylko bardzo wypełniony jadem, jadem sztuki. Radio musi cały czas grać, tu musi być zagrzana sytuacja. Trzeba mieć czuja. Słowa czasami chciałbym wepchnąć z powrotem w usta, tak żeby ich nigdy nie wypowiadać. Artysta jest samotnym człowiekiem, siedzimy cały czas sami, sami ze sobą. Tu dziecko, tam matka, rodzina, żona, kochanka, a tak naprawdę cały czas jesteśmy z własnymi sprawami, problemami, myślami. I jesteśmy tak samotni... nikt cię ani nie zrozumie, ani nie pojmie tego, co mówisz. Możesz komuś coś próbować tłumaczyć, ten ktoś będzie kiwał głową, powie nawet, że ma podobne problemy, ale i tak jesteś sam. Wszystko to jednak nic naprzeciw wieczności. Ludzie...? Ludzie są dzisiaj duchowo martwi, albo nie potrafią, nie umieją tego wyrażać. Świat jest po prostu stuknięty i od tego trzeba zacząć. Świat jest na mój rozum stuknięty. On mnie przeraża od obudzenia aż do zaśnięcia. Przeraża mnie przez kochane moje istoty, przez dzieci, przez przyjaciół, przez mój ogród, przez przelatującego ptaka. Ogarnia mnie strach i wtedy chciałbym przeżywać świat na swój sposób. Przez swój świat, przez swoją bajkę, przez swój wiersz, zbliżam do siebie ludzi charakterystycznych. Pewien rodzaj ludzi, którzy mają swój świat gdzieś bardzo głęboko. Ja go często ilustruję demonstracyjnie i artystycznie i wtedy jest to pięknie, kiedy nabierają się ludzie na mojego drewnianego ptaka, ciągną go za ogon i chcą z tym moim ptakiem, moim światem poszybować. Bo mają do mnie zaufanie. Bo wiedzą, że moje kolorowanki, wymyślanki, moje kasztanowe światy w których nikt nie walczy, są też ich. I oni szybują. Ludzie obcuja z jakimś turpizmem, z jakąś kością tego świata, bo świat jest piękny i kolorowy ale ma swój kręgosłup. Moje pajacyki są drewniane i biedne. W ich pokraczności i chudości zawarty jest smutek, delikatność, rodzaj poezji - tak nazywam wszystko co delikatne i wzruszające. Czuję, że przez obrazy staję się strażnikiem bajek, strażnikiem poetyki świata. Grubas nie przelezie przez sito, nawet jeśli ciągnie za sobą rozczochraną lalkę. Do mojego świata wchodzi jakieś subtelne, chude sprawy dzięki którym jestem odarty z napuszonej zewnętrznosci. Wymyśliłem sobie kukiełkowy, prosty świat, w którym żyje się łatwo ale i głęboko. Chleb zawsze będzie chlebem, życie modlitwą, miłość ciepłem, dotykiem. Tego nie da się zmienić. Tego nie da się zrozumieć. To staram się pokazać ludziom. Żyjemy blisko z przyjaciółmi, bo mamy potrzebę bycia razem, wspólnego siedzenia przy stole, przeżywania i dzielenia się tym, co dobre. Pewnie, że najłatwiej byłoby otworzyć portfel, wrzucić coś tam do jakiejś skarbonki i mieć z głowy. Sztuką jest wciągać do tego jeszcze kogoś innego, pokazać, jak łatwo można zrobić coś dla kogoś innego i samemu z tym dobrze się poczuć. Że sami musimy się ratować, bo inaczej utoniemy w obrzydliwie kipiącym dookoła świecie. Jestem szczęśliwy, bo żyję jak w bajce. Pracuję z przyjemnością. I im mniej muszę, tym więcej wewnętrznej dyscypliny. Nie czuję presji życia, to ja na nie napieram, jestem na nie napalony. Mam potężny apetyt na życie, które jest największą i najprawdziwszą sztuką. Wszystkie moje obrazy tworzą rodzaj pewnej układanki. Cieszę się, że bije od nich coraz większy spokój i ciepło. Jestem malarzem „starych obrazów”. Całe życie spędziłem przy sztalugach. Urodziłem się po to, żeby

wypełniać wszystkie pogubione, niechciane i brzydkie miejsca. W tej chwili dzieje się dla mnie czas najszcześniejszy: wypieram jedną cudowną chwilę kolejną. Jakby pchały się wszystkie naraz. Jestem w kolejce cudów. Jest mnie wiele i każdy „ja” stoi na zewnątrz magicznej przestrzeni. Na pewno nie na zewnątrz świata. Jestem pomnożony stojąc w kolejce dobrych myśli i spostrzeżeń. Czuję się jak igielka, istota trzymające siebie kolejnego za plecy. Czuję za sobą oddech następnego siebie rozmawiającego z każdą moją cząstką. JESTEŚMY ZGODNI. Nikt się nie przepycha, ani nie wykrada z kieszeni na przykład nie dojedzonej bułki. Jedni śpiewają, drudzy mówią o wczorajszym dniu... zbliżamy się coraz bardziej do otworu w zardzewiałym wiadrze. Przechodzimy zgodnie do drzwi, do przestrzeni. Rośnie nasze podekscytowanie. Ci co są na tyłach przypominają sobie wczorajszy dzień, układają sobie ten rodzaj szczęścia, którym za chwilę się podzielą, wyzwolą. Zaczaruję świat bo mam tę niebywałą naiwność w sercu i oczach. Wszyscy „my” jesteśmy zachwyceni. Ten podzielony portret niebywale mnie rozgrzewa. Nie widzę nawet końca tej kolejki - albo jest mnie tak dużo albo nic się nie zmniejsza... wszystko ginie gdzieś w krajobrazie, za pagórkami. Z każdym dniem rozumiem coraz więcej, pomnażam siebie w tej kolejce. Im bliżej przejścia na drugą stronę, tym większa radość i naiwna chęć powiadomienia świata, że wszystko jest w porządku, wszystko ma swoją spójność i sens: tworzenie rodziny, zapładnianie dziewczyn zamykających swój dostęp do siebie. Przebijamy błonę dziewiczą, błonę strachu i lęku. Z braku perspektyw czy z chęci znalezienia w tym sensu. Tak jak w moim życiu, choć z moją drugą żoną Ewunią utkwiliśmy w przekonaniu, że jeszcze nie teraz, że nie jesteśmy gotowi psychicznie i materialnie. Teraz jedna z części mnie idzie na ten „drugi świat” powiedzieć, że jest sens, przebijam blokadę złego myślenia, tkwienia w postawie, że coś się nie uda. Szczęście i radość z urodzonego dziecka uzupełni nas... tak samo z innymi rzeczami dla siedzącego – tworzącego dla rozwijającego interes i nie rozwijającego go dla chodzącego w łachmanach i strojnych szatach dla jadącego na rowerze i mercedesie za trzysta tysięcy Dajesz im wiarę, impuls, który powoduje, że albo coś zmieniają w swoim chujowym życiu albo w jego niepewności. Zależy to od grubości ich skóry albo od twardości czaszki. Od słuchu, wzroku i czucia. Na pewno jestem podzielony dla bardzo wrażliwych. Wielką przyjemnością dla artysty jest dobrać się do jak największego grona widzów. To też jest rodzaj obrazu – ale także myśli, podzielności szczęścia. Może dlatego tak prymitywnie walczy się w pracowni o dobór odpowiednich kolorów. Używa się najprzedziwniejszych barw kontrolując i badając ich znaczenie. Moje obrazy fakturowe są sposobem badania odbiorców. Nazywam to pracownianym aerobikiem, albo zbliżeniem. Nie zostaję z jednym obrazem i z jedną kategorią odbiorców, którą już mam. Mam jedną grupę odbiorców, która mnie kolekcjonuje. Cieszę się, że w tym samozadowoleniu nie zostałem z mordą pełną czekoladek. Gładząc się po pełnym kałdunie mam w sobie jeszcze niebywałą wolę walki, by dobrać się do bebeczków tego świata. W swojej pracowni jestem jak na strychu z dzieciństwa – tyle, że flary mam bardzo stabilne. Chce nam się jeszcze czegoś, bo jesteśmy pazerni - na mnogość widzów, albo na ich inną kategorię. Próbuje jeszcze coś wymyślać w swoich laboratoriach, coś wynaleźć... Możemy być wszystkim: grzechotką na odczarowanie, drzewem, rośliną, bo i tak staramy się dotrzeć do świata roślinnego, końskiego, drzewnego, biologicznego. To wszystko jest w nas: światy żuczków i parchów, nawet komarów ciachających nad bagnami w Zbąszyniu. W tym naszym świecie, ludzie są bardzo komarowi, psi itd. Co jest bardzo ważne. Jeśli ktoś jest tygrysi, żabi, czy mysi – musimy dotrzeć do niego na przykład myszowością, którą ma w sobie, albo sprowadzić go do siebie poprzez świadomość życia. Nie można więc pierdolić, że obraz jest najgorszy czy na brzegu kiczu... jeśli wruszy do łez w jakimkolwiek wymiarze – wtedy staje się czymś najważniejszym. Nie można mówić, że pewne obrazy umiejscowione w takim

czasie są gorsze a inne lepsze, dlatego, że tworzenie nie ogranicza się tylko do spraw wizualnych. Jest to projekcja pewnego napięcia, pewności i przekonania z jakim to robisz. Maluj sobie chwasty, jelenie na rykowisku... cokolwiek! Świat jest tak bardzo podzielony, że i tak dotrzesz do jakiejś prymitywnej duszy... więziennie – prymitywnej, ubogo – prymitywnej. Zupełnie innym rozdziałem jest rozpatrywanie czy jest to grupa większa, mniejsza, ważna, mniej ważna itd., bo najważniejsze jest to, żeby się komunikować. Jeżeli znalazł bym język na porozumiewanie się obrazami z koniem czy myszą czyhającą w kącie spiżarni, też ma to wielkie znaczenie. Musimy to szanować, a nie gnoić czy napadać z własnej ludo – perspektywy. Dlaczego świat ludzi miałby napadać na kogoś kto maluje dla świata myszy? Uszanujmy każdy twór powstały z prawdziwością, szczerością w wielkim napięciu. Treść poszukiwania, grzebania w bebechach podpala mnie tak samo jak ewentualne rozstrzygnięcie największych sporów przy okrągłym stole wśród alchemików, laborantów i ludzi szukających jakiegoś sensu istnienia. Jeżeli rodzisz się z intuicją, docierasz do niej tylko poprzez takie plądrowanie. Nie czekasz aż cię intuicja dopadnie jakimś kosmykiem włosów, spadającym śniegiem. Nie skojarzysz tego z niczym... czuję świadomie po wielu latach, że odnalazłem kluczyk – wcale nie złoty, tylko zardzewiały. Wiem nawet jaki ma kolor, co jest też rodzajem intuicji. Otwieram nim „pyciuńką” szkatułkę, zaglądam do środka i widzę kilometrową przestrzeń piętrowych półek. Biorę to co należy akurat do tej chwili – dosłownie. Pobudzam chwilę pod tytułem „wieczność”, czy „smutek tego świata”, albo „radość” – taką, którą odczuwają drzewa. Ujrzyć drzewiczki, zajrzeć i wziąć to „coś” o co jest się mądrzejszym. Nie uczynisz tego przy okazji z własnej kalkulacji, nawet jeśli zauważysz na innej półce świecidełko. To wszystko jest nie bralne, bo jest wyświetloną projekcją. Można tego dotknąć tylko wtedy gdy na nowo skoncentrujesz się na świecie ponadmysłowym. Widzę kluczyk i drzewiczki. Wchodzę w ten świat poza nami, poza śmiercią. Jest on bardzo potrzebny do naszego życia... bardzo trudno zdać sobie sprawę z ulotności tego co sobie budujemy czy tworzymy. Przecież to my stroimy świat, manipulujemy nim, dekorujemy domami, własnymi obrazami na ścianie, drzewami. Krzaczkami, ogródkiem... jeśli będę starzał się z taką świadomością, wiem, że nie będę bał się śmierci. Odkryłem mały impuls. Nie chodzi tu o niebo czy piekło... są krainy bez kości. Zawsze myślałem, że będę światełkiem. Niekiedy myślałem, że przechodzimy jak w wydmuszki... wszystko się powieli. Może ludzie biorą się ze słomki, przez którą dziecko o imieniu Bóg wydmuchuje życie jak bańki mydlane? Niektórych rzeczy nie można nazwać, nie da się przerastają naszą świadomość i zakres słowa, wyobraźni. Teraz wiem, że anioły nie mają imienia. Kiedy mówimy „Anioł” wytracamy sens, zniewalamy go w działaniu. Możemy się do niego zwracać przez wszystko, oprócz mówienia „anioł”, bo jeśli ma imię tym samym rodzaj specjalności, zachowań czy pomocy. Anioł jest Zasz interwencyjny, albo – jak już pisałem, może przeprowadzać małe dzieci przez kładkę (zwłaszcza na niemieckich św. Obrazkach) Anioł, który powinien nas chronić nie rozprawiając się z określoną rzeczą, jest jakimś niepojętym zmysłem, który nas naprawia. Jego świadomość naprowadza nas na najlepszy rodzaj świata. Prowokuje i powoduje, że idziemy kładką a nie zbaczamy z niej po poręczy. Jest takim rodzajem naszych ściszonych samozachowań. Nagle potrzebujesz sznurówki do buta a okazuje się, że masz tylko linę portową, która ma 16 końców. Nie wsadzisz całej liny w szlufkę. Zaczynasz rozsypywać ją bo chcesz pójść albo przebiec jakąś odległość. I nagle dowiadujesz się o istnieniu innych ewentualnych światach. Możesz też powiedzieć sobie – „dobrze wybieram dla siebie dwie sznurówki” ale co z resztą tych „ciągier”, która mają kapitalne znaczenie. Coraz częściej myślę, że jestem wykorzystywany do misji splatania zdarzeń w warkocz. Może kiedy zjawiska ziemskie, wszystko co wiruje wokół nas jest głową a meteoryty rysują mapę wędrówek ponad zmysłowych? Wtedy wszystkie nasze poczynania między planetarne są ku ocaleniu świata? Bo czym są

loty kosmiczne – Gagarin z konewką i ziarenkiem poszukiwał miejsca na ogródek? Jak można ocalić ludzkość, jak uratować naszą przyjemność bycia? Jestem tak wzruszony drobiną i ogromem, że sam wysyłam w kosmos swoje pojazdy, jak butelki z listem do strumyka. Wierzę, że ktoś to przeczyta i tak bardzo zrozumie naszą wolę życia, że otworzy wrota byśmy nie zastygli z kołatką w ręku. Dopóki człowiek nie przerazi się – zdając sobie sprawę z naszej małości, dotąd będzie wypuszczał z dumą złowione ryby do jeziora a tym samym nie przedostanie się na łąkę, gdzie tkacze plotą bezkresny warkocz. Stoją w półkolu, nie idą do przodu tylko świat się zwija w kłębek doznań. Powoli i ja na swoim podwórku splatam to wszystko czego doznałem i co mnie zachwycało: Ślad niemieckich szeptów, moje polskie bycie i świadomość tego co zawsze ponad historią. Wieczność tego świata albo apetyt na nią. I na pewno moja nitka jest częścią warkocza, jaką ostrożnie ale z dużą wiarą splatam. Często toczę na łąkach monumentalne wianki z polnych kwiatów i cykad. Bywa, że wplatom w to krowy i stodoły, piękną dziewczynę pachnącą mydłem, motyle i strumyk migotający w słońcu, by to ocalić. Kiedy taki wianek włożysz na głowę ośnieżonej Szrenicy poczujesz pewność własnego istnienia. A co z żyjącymi zamkniętymi w kokonach, nie dających radę upleść cokolwiek. Zaczynają śmierdzieć i przyzwyczajają się do swojego smrodu. Nitki zdarzeń krępują ich ruch, zamykają oczy. Jak im pomóc? Czy istnieje w ogóle taka potrzeba kiedy coraz bardziej się przeobrażają? Ale niby w co? W embriony, które na powrót szukają drogi do łona matki, by narodzić się w lepszym czasie? Czy to jest ich tchórzostwo czy ich niedoskonałość? Z jakiego powodu ludzie się rodzą i umierają? Czy po to by po śmierci w nagrodę żyć wiecznie? Już wiem – z miłości... niekiedy dwojga do siebie, zupełnie przypadkiem. Czasami po pijaku, z własnego egoizmu powstaje człowiek stworzony jak obraz, który jest gównem wart. Możemy mówić, że wszystkie urodzone dzieci i obrazy są nasze. Z przejęcia budujemy specjalne ośrodki wychowawcze, podjazdy do supermarketów... Wycofuję się z tego myślenia, muszę przyjąć boże stworzenie świata i ludzi. Jestem za głupi by samemu to zrozumieć. Nie potrafię przełożyć ogromu świata na swój kasztanowo żółdziowy język, bo inne rzeczy udaje mi się przełożyć...